N. 15. WARSZAWA d. 1 (13) Kwietnia 1872 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

MIESZKANIA NAWODNE

PRZEDHISTORYCZNE

przez

Dra Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

Wysokość wystających pali sięgała zapewne do powierzchni wody, stanowiącéj najlepszy wagomiar. Ale że wysokość wody z czasem zmienia się, i już się podnosi już opada, ztąd poszło, że dziś na jednych wodach pale sterczą z wody, a na drugich pod wodą się znajdują, najczęściéj ukryte w szlamie, który się z czasem osadził.

Na te pale kładziono rodzaj podłogi, najwięcéj pomosty na 4 do 5 łokci szerokie, z drzew ściśnionych ze sobą palami, wbijanemi w spód jeziora. Pomosty te z czasem pospadały na grunt, i przechowały się aż do naszych czasów. Podłogi z nich złożone nie wszędzie są tego samego rodzaju. Znaleziono w niektórych miejscach dwie podłogi na sobie leżące, co dowodzi, że gdy woda się znacznie podnosiła podczas jéj przypływu, a opadała podczas jéj upływu, co na wielkich jeziorach zwykle ma miejsce, budowano dwie podłogi, niejako dwa piętra. W nawodziskach pod *Wauwyl* natrafiono aż na pięć podłóg na sobie leżących, wszystkie razem obejmowały koło trzech stóp grubości. Ostatnia podłoga leżała na gruncie a cztery inne pod różnemi kątami po nad sobą. Wszystkie były palami ściśnione. Niekiedy jedna podłoga leży niżéj a druga wyżéj, i z jednéj do drugiéj prowadzą pomosty na 4 stopy szerokie, dla komunikacji mieszkańców nawodnych. W niektórych miejscach pozostały ślady mostów, prowadzących od nawodzisk do stałego brzegu jeziora.

Jakie na tych podłogach stawiono szałasze lub chaty, nie wiadomo. Rysunek, który pod tym względem podał *Lyell* w dziele „O starożytności rodzaju ludzkiego" przełożonéma niemieckie przez *L. Büchnera*, jest fantazją i domysłem, na podobieństwo obrazków topograficznych z przedpotopowych czasów. Przechowały się szczątki ścian, składające się z wypleci gałęzistych, gliną na obie strony pozalepianych; widać z palów, służących za fundamenta, że budowy na nich postawione już były okrągłe, już czworograniaste, ale jaka była tych domostw forma i budowa, domyślać się tylko chyba możemy. Na samych domysłach opiera się także twierdzenie, że nawodziska zawierały 200 do 300 chat i z okładem do tysiąca mieszkańców, bo prócz niepewnego obszaru rozciągających się palów, nie ma żadnych danych, na których by to twierdzenie oprzeć można.

O wieku, jakiego te budowy nawodne sięgają, różne są zdania archeologów. *Gillicron* obliczył z różnych towarzyszących okoliczności, że nawodziska w pobliżu miasta *Newszatel* w Szwajcarji najmniéj 6,000 lat są stare. Inni sięgają daleko daléj, inni daleko bliżéj. Jedni i drudzy może mają rację, bo nie ulega wątpliwości, wedle znalezionych wykopalisk, że budowle nawodne bardzo odległych sięgają epok, i że znowu inne, aż do historycznych przeciągnęły się czasów. O tych ostatnich mamy nawet dwa wiarogodne świadectwa. Lekarz *Hippokrates*, który się urodził na 460 lat przed Chrystusem, mówiąc o febrach, opisuje sposób życia mieszkańców, żyjących nad ujściem rzeki *Phasis*, która wpływające po wschodniéj stronie morza Czarnego, tworzy przy ujściu obszerne, niezdrowe trzęsawiska;—że na tych mokrzadłach rzecznych ludzie ci budują sobie domy z drzewa i trzciny i jeżdżą po łodziach wyrobionych z pnia wyżłobionego. Nowsi podróżni twierdzą, że i dziś jeszcze nad ujściem bagnistego Donu, podobne mieszkania na febrzatych moczarach téj rzeki znajdują się.

Ważniejsze drugie świadectwo pozostawił nam *Herodot*, którego wiekopomne historyczne dzieło wyszło około roku 450 przed Chrystusem. Radzca konsystorski *Hassler* ze Stutgardu zwrócił pierwszy uwagę na to miejsce, wskazujące wyraźnie na mieszkania nawodne. W Tracji—powiada ojciec historyków greckich,—mieszkało pokolenie Peończyków i wybudowało sobie na jeziorze *Prasias*, mieszkania na polach, tworząc tym sposobem niezdobytą fortecę, któréj nawet Megabazos, wódz Darjusza za wojen perskich posiąść nie mógł, chociaż okoliczne pokolenia Trackie zawojował i podbił. Uczony podróżny francuzki *Deville* odszukał w nowszych czasach szczątki tych palów, które wedle Herodota tym sposobem powstały, że najsamprzód wszyscy wolni obywatele wzięli się do wybudowania mieszkań nawodnych, a następnie utrzymywali je i powiększali w ten sposób, że każdy obywatel który pojął żonę, obowiązany był z przyległych gór *Orbelos* trzy pale sprowadzić, wbić w jezioro, położyć na nich podłogę, a następnie dom wystawić na téj przestrzeni trójgraniastéj. A że wielożeństwo było między nimi dozwolone, przypadło na jednego obywatela nieraz kilka takich domów, które naturalnie musiały być nader szczupłe.

Oprócz tych dwóch świadectw, nie posiadamy innych, i wnosimy tylko, że na tych budowlach jeszcze z kamiennéj epoki sadowili się mieszkańcy i z epoki bronzowéj, a nawet z epoki żelaznéj. A być może, że i w późniejszych czasach takie nawodne mieszkania stawiano. Za pierwszém przemawia ta okoliczność, że np. na nawodziskach, odkrytych w torfie, pod *Moosseedorf*, do wysokości pięciu stóp od gruntu znaleziono same kamienne i kościanne rzeczy; na kilka stóp wyżéj natrafiono na monety rzymskie; a w warstwie saméj napływowéj ziemi u wierzchu znalazły się przedmioty z wieków średnich. W nawodziskach jeziora Neuenburgskiego po sprzętach z kamieni i kości, pokazują się wyżéj bronzy, a najwyżéj nawet żelazne narzędzia. O rzeczywiście późniejszych budowlach nawodnych świadczą nawodziska

w jeziorze Genewskiém i w jeziorze Bielowskiem pod Sternbergiem, w których same bronzowe przedmioty wydobywano. A nawet w jednym przypadku w *La Tène* pod *Marin* nad jeziorem Neuenburgskiém, znaleziono samo tylko żelazo.

Wszakże i o tych najpóźniejszych budowlach nawodnych, nie posiadamy żadnego historycznego śladu, z któregośmy wnosić mogli, jaki lud je budował, jakie były tego ludu dzieje, jaka religja, jakie społeczne urządzenia. Wszystko się w niepamięci zatarło, czy to, że kultura tych ludzi była za nizka, czy że obce ucywilizowane narody tędy nie przechodziły, a jeżeli pojedynczy mieszkańce zkądinąd tu docierali, nie zostawili o tém żadnych pamiątek. To jedno tylko widać, że wszystkie te osady nawodne ogniem zburzone zostały, czyto, że je mieszkańcy sami tym środkiem niszczyli, uchodząc przed nieprzyjacielem, czy, że hordy najezdników tego zniszczenia dokonały.

Stan kultury mieszkańców nawodnych o wiele już wyższy od kultury tych ludzi, po których kurhany kuchenne pozostały. Sam zmysł budowania domostw na wodzie i obrobienia ku temu takiej ilości drzewa, choćby samym tylko kamieniem, dowodzi już wyższego ludzkiego poglądu i stowarzyszonéj pracy. Atoli same przedmioty wynajdywane gromadnie w tych siedliskach nawodnych, chociażby z najodleglejszych czasów, pozwalają robić wniosek, że mieszkańcom tym znane już było rolnictwo i chów swojskich zwierząt. Dodajmy w tém miejscu, że archeologowie takie przedmioty nawodziskowe nazywają osobném mianem anticaglia. Namnożyło się tych przedmiotów już tyle, że znaleźli się niesumienni spekulanci, którzy podrobione rzeczy za prawdziwe *anticaglia*, za drogie pieniądze sprzedają.

Najskrupulatniejsze poszukiwania okazały, że w samym gruncie jeziornym lub rzecznym, który się składa z iłu, gliny, piasku, a wielekroć z pokładu muszlanego wapna, który białym gruntem nazywają, że tam krom geologicznych petryfikacji np. słoniowych kości żadne antikaglje się nie znajdują. Ich rewir poczyna się dopiero w namuliskach i torfiskach pomiędzy palami, i to bardzo blisko samego gruntu. W epoce kamiennéj ludzie ci z wielką pracą i starannością obrabiali kamienie, wywiercali w nich dziury na rękojeści, nie posiadając ku temu żadnych narzędzi metalowych. Twardszą molassę używali do piłowania i gładzenia i wyrabiali z niéj ręczne wyżłobione młynki; z serpentyny wykuwali młoty i siekiery; z twardego krzemienia i tak zwanéj gładkiéj zanokcicy urządzali sobie najrozmaitsze narzędzia. Nie posiadając tego rodzaju twardych kamieni u siebie sprowadzali je z odległych stron, z czego wnosić można o komunikacjach handlowych i stosunkach z innemi ludami. Znajdują się ślady bursztynu i nefrytu, które także z daleka im przychodziły. Płyty krzemienne, wyżłobione, pół stopy szerokie, zastępowały zapewne nasze sierpy. Z drzazg twardego głazu albo z rogów zwierzęcych wyrabiali śpilki, kolce, kliny, noże i inne narzędzia. Między widłowate gałęzie znaleziono wciśnięty kamień, zapewne rodzaj procy.

Zrazu prowadzili życie rybackie i łowcze. Ale że i z rolnictwem i owocami obeznani byli dowodzą ogorzałe kłosy i ziarna pszenicy, dwu i sześciorzędowego jęczmienia, owsa, które się w tych rumowiskach przechowały. Żyta nie znali. Znajduje się ono dopiero w późniejszych warstwach. W niedostatku wiatraków i młynów, prażyli ziarno i śrutowali je między okrągłemi wygładzonemi głazami. Z ciasta takiego wypiekali chleb między rozpalonemi kamieniami. Znaleziono spalone jabłka i gruszki, zapewne dzikie, pestki wisien i śliwek, ziarnka nasienne malin i jeżyn, łupiny laskowych orzechów i buczyny. Chodowali także len, co się pokazuje i z odnalezionego siemienia lnianego, i z kulek gliniastych, któremi naciągali nici do wyrabiania płótna.

(d. c. n).

Korespondencja z Wiednia.

Nowalje wiedeńskie — Prater — Ringstrasse — Kawiarnie damskie — Odczyty Büchnera — Wspomnienia galicyjskie o słońcu — Początek precli i obwarzanków — Człowiek nie pochodzi od małpy, lecz małpa od człowieka — Jak wyglądał człowiek pierwotny — Teatra wiedeńskie — Grzechy Offenbacha względem samego siebie — Stowarsyszenie kobiece dla oświaty ludu i jego zamiary — Uczennice w szkole sztuk pięknych — Towarzystwo akademickie „Ognisko" — Brak pomieszkań — Dom przytułku.

Mamy już wiosnę, chociaż jeszcze nie bardzo pewną, bo po kilku dniach pogody zrobiło się znowu zimno, wietrzno i dżdżysto i zapewne dłużéj tak potrwa. Bądź co bądź jest wiosna. Dla idealistów, poetów i marzycieli są fiołki, któremi boginie wiosny, brudne obdarte, trzęsące się od zimna kwiaciarki częstują nas niemal za każdym krokiem; dla materjalistów zaś jest groszek zielony, są kartofelki młode, kalafiory olbrzymie, poziomki i tym podobne specjaliki od miesiąca paradujące po wszystkich Delicatessen-handlungach. Najpewniejszym, pomimo wszelkich przeciwnych prognostyków, znakiem wiosny jest, że Prater, zastępujący nam lasek buloński, z każdym dniem coraz bardziéj się ożywia. Co tu pojazdów i konno jadących, co tu pieszych wszelkiego stanu i wieku! I tu, tak materjaliści, jak idealiści, czego kto potrzebuje, znajdą z łatwością. Wiedenki bowiem są istotami bardzo zbliżonemi do ideałów (mówię na serjo), wdzięki ich są niezrównane (niewierzyć mi byłoby niegrzecznie), gust w toalecie mają klasyczny (powątpiewanie byłoby złośliwością) — dla materjalistów zaś są kiełbaski gorące, prawdziwe wiedeńskie jakich nie ma w całym świecie. Podobnie jak Prater ożywiona jest Ringstrasse, ten wieniec najpiękniejszych w około miasta pałaców, najulubieńsze miejsce do przechadzki pieszéj na wiosnę i jesień, i mówiąc nawiasowo, jedyne w Wiedniu miejsce z dobrym trotoarem. Tłum też w południowych godzinach tutaj tak wielki, że się przecisnąć niepodobna, a wszędzie aksamit i złoto, złoto kapiące, wiszące, spadające. Czy prawdziwe czy chińskie? sąd nie należy do nas.

Oprócz pań przechadzających się, niemal drugie tyle siedzi ich w kawiarniach umyślnie dla kobiet na tejże ulicy urządzonych, a które od pospolitych różnią się nietylko przepychem lecz oraz i tem, że w nich nie pali się tytoniu w żadnéj postaci.

Atoli Ringstrasse po jednéj tylko stronie tak jest ożywiona. Po drugiéj pustki. Za to spotkasz tam czasem skromne hoże dziewczątko, żywy fiołek, niestety, pod względem majątku, który w Wiedniu jest bożyszczem, w nielepszych okolicznościach jak boginie wiosny handlujące po ulicach pierwiosnkami.

Tam dzieci z piastunkami rozpierają się swobodnie, nie troszcząc się ani o swoje opiekunki, ani o ich towarzyszów w mundurach, jak ci nawzajem nie troszczą się o dzieci.

Bądź co bądź mamy wiosnę, mamy gdzie wygrzewać się, mamy gdzie wystawiać na widok publiczny nasze wspaniałe aksamity, nasze złoto prawdziwe i fałszywe, a często ani pomyślimy nawet o tem, że wszystkie te przyjemności zawdzięczamy głównie dobroczynnym wiosennego słońca promieniom. Dobrze się też stało, iż znalazł się ktoś, co na tę ważną okoliczność zwrócił naszą uwagę. Tym ktosiem był nie kto inny tylko głośny w uczonym świecie naturalista Dr. Büchner, autor znanego powszechnie dzieła „Siła i materja" (Kraft und Stoff) przed kilkoma laty we Lwowie w polskim przekładzie wydanego, który zjechawszy do Wiednia dla obejrzenia jego mieszkańców, za pomocą ustnych, wykładów z najnowszemi zdobyczami w dziedzinie nauk przyrodzonych, za przedmiot pierwszego wykładu wziął właśnie słońce i jego wpływ na życie. Radzibyśmy Czytelniczkom naszym zdać sprawę jak najdokładniéj z tego wykładu, treść bowiem jego była bardzo ważna i pouczająca, a sposób przedstawienia rzeczy wielce zajmujący. Nie łatwe to jednak zadanie. Wprawdzie w pewnem mieście galicyjskiem, słyszeliśmy już raz wykład innego także wcale znakomitego uczonego o słońcu, lecz prócz przysłowia które wówczas w owem mieście powstało: porwał się jak X. na słońce, nic nam z rzeczonego wykładu nie zostało w pamięci.

Liczne grono słuchaczów powitało grzmotem oklasków wstępującego na mównicę Büchnera.

— Mniemam, rzekł na to, że oklaski tyczą się nie osoby mojéj lecz umiejętności któréj mam zaszczyt być adeptem, i jéj olbrzymich w ostatnim czasie postępów. Jeżeli tak, gotów jestem i sam klaskać z wami szanowni słuchacze!

Dowcipne to znalezienie się prelegenta miłe sprawiło wrażenie i wywołało nowe kilkominutowe grzmoty.

Przystępując do rzeczy, Büchner zwrócił najprzód uwagę, jak to człowiek ucywilizowany wyzwala się do pewnego stopnia z pod bezpośredniego wpływu słońca. Za pomocą lamp gazowych robi dzień z nocy, a dobry piec i ciepłe ubrania zastępują mu brak słońca w zimie. Inaczéj rzecz się miała i ma dotąd z człowiekiem żyjącym na łonie natury. Dla niego wszystkie siły przyrody a osobliwie słońce, ogromne mają znaczenie. Nie mógłby obejść się bez nich, nie potrafiłby wyemancypować się z pod ich władzy, nic też dziwnego, że słońce dało początek niemal wszystkim religiom. Jakoż u ludów indogermańskich pierwiastkiem wszystkich nazw bóstwa jest światło (Licht). Przechodząc do szczegółów, wspomniał prelegent o wielkich uroczystościach u pogańskich germanów, urządzanych na cześć słońca podczas przesilenia, dnia z nocą. Na te uroczystości pieczono jakieś ciasta, których skarłowaciałą pamiątką mają być precle i obwarzanki.

Prawa obrotu ziemi około słońca są tak powszechnie znane, że dziwić się należy iż są jeszcze ludzie, suszący sobie niepotrzebnie głowę nad wymyśleniem innego systemu. Słońce atoli nie stoi w miejscu jak wielu mniema. I ono także odbywa ruch nieustanny, a do tego podwójny, tak samo jak ziemia. Że słońce obraca się około swojéj osi, tego między innemi dowodzi znikanie jego plam po jednéj stronie, i ukazywanie się ich po pewnym czasie z drugiéj strony. Obrót ten trwa 25 i pół dni. Jednocześnie odbywa słońce drugi ruch postępowy, w około słońca centralnego, gdzieś niezmiernie daleko w przestrzeni zawieszonego, i do przebieżenia całkowitéj drogi w około niego potrzebuje 22 milionów lat. Ciekawe szczegóły podaje nauka o naturze materyi z któréj słońce się składa. Materja ta według badań licznemi dowodami stwierdzonych, jest o wiele rzadsza i lżejsza niż ta która stanowi naszą ziemię. Dawniéj mniemano, że słońce jest ciałem stałem, ciemnem samo przez się, jak ziemia ale otoczonem ognistą atmosferą. Obecnie uczeni innego są zdania. Uważają oni słońce jako rozpalone do białości, nie zaprzeczają atoli także istnienia świetlnéj ognistéj atmosfery. Do tego odkrycia doprowadziły zasady analizy spektralnéj, przed niewielu laty przez sławnych przyrodników Kirchhofa i Bunsena odkrytéj,

które prelegent przytacza na poparcie swego twierdzenia.

Jakim sposobem powstało słońce; równie ważnem jest pytaniem. Słońce powstało przez powolne zgęszczanie się mgły. Na zasadzie téj hipotezy można z łatwością wytłomaczyć przyczynę gorącości słońca, bo przy wszelkiem zgęszczaniu się ciał powstaje konieczne ciepło. Przez promieniowanie słońce traci nieustannie ogromną ilość ciepła, atoli ma go jeszcze dosyć, obecnie bowiem gorącość jego wynosi około 3,000 stopni. Z czasem wychłodnie całkiem i będzie takiem, jaką jest ziemia jakiem jest księżyc, atoli daleko jeszcze do tego. Obliczono, że to zagaśnięcie słońca nieprędzéj nastąpi jak za 14 miljonów lat, możemy więc spać spokojnie, bo jeszcze jutro pewnie je zobaczymy, a to jutro powtórzy się jeszcze tyle razy, ile okres sześć miesięcy zawiera w sobie sekund. Słońce dla tego tak powoli traci swoją gorącość, że choć ciągle wydaje z siebie ciepło, to je odbiera nieustannie już od słońca centralnego, już od licznych meteorów. Wpływ słońca na ziemię i wszystkie onejże stosunki jest niezmierny. Ono to, czyli jego ciepło sprawia cyrkulację powietrza i wody. Rzeki nasze są dziećmi słońca, źródła bowiem które im dają początek, powstają z pary wodnéj przez słońce utworzonéj i z lodowców przez słońce stopionych. Żaden promyk światła słonecznego nie ginie na ziemi bezpożytecznie, a światło jest tylko właściwą postacią ciepła. Dla wyjaśnienia ważnéj a dopiero niedawno ustalonéj prawdy, że w naturze żadna siła a więc i żaden promień słoneczny nie ginie, przytacza prelegent następujący przykład.

Gdy nakręcę zegarek, siła która go porusza jest zupełnie równa téj, jakiéj do nakręcenia go użyć musiałem. Siła ta nie ginie w zegarku, lecz po niejakim czasie występuje z niego napowrót jako ciepło, przez tarcie między jego kółkami wywołane. Ciepło zaś to, ogrzewa powietrze a działanie powietrza przyczynia się do wzrostu zboża, które zamienione na mąkę, odżywia w ręce człowieka siłę muskularną, na nakręcanie zegarka wyłożoną.

Produktem ciepła słonecznego jest roślina a nawet i zwierzę, bo za pomocą stosownego stopnia ciepła, można żółtko w jaju zamienić na istotę żyjącą. Węgiel zawiera także utajone w sobie od wielu tysięcy lat ciepło słoneczne; gdy posiadamy zapas węgla, możemy powiedzieć że mamy słońce w piwnicy. I my także jesteśmy dziećmi słońca. W pospolitéj mowie światło i życie jedno znaczą. Przenośnie nawet wiedzę nazywamy światłem, i dla tego wcale nie popełniemy błędu, gdy nawet wśród białego dnia wołamy: światła! światła!

Oto mniéj więcéj treść pierwszego wykładu Büchnera. Niebawem nastąpił drugi, na który podobnież liczne zebrało się audytoryum płci obojéj. Tym razem mówił prelegent o powstaniu człowieka. Na wstępie rozwodził się nad niskim stanem władz umysłowych dziecka na świat przychodzącego. Poczucia się w swojem jestestwie świadomości siebie samego, ma mniéj niż zwierzę, i to do tego stopnia, że dziecko dość już duże mówi zawsze o sobie jakby o trzeciej osobie. Zwolna dopiero rozwój stopniowy mózgu pozwala dziecku myśleć. Ani to że człowiek powstał z gliny, ani to, że dopiero 6,000 lat upłynęło od czasu jego istnienia na ziemi nie może być naukowo udowodnionem. Owszem obu tym twierdzeniom nauka zaprzecza.

Długo ząciętą walkę staczali w tym względzie uczeni pomiędzy sobą; nim kwestja jasno postawioną została. Brali w niéj czynny udział Lamark, Oken, Goethe, Cuvier, aż nareszcie w ostatnich 20 latach zwyciężyła nowa teorja. Na tem polu Darwin największe położył zasługi, jemu też nauka najwięcéj zawdzięcza. Według jego teorji człowiek sam się rozwinął. Darwin zbłądził atoli przyjmując dla tworów organicznych pewne formy zasadnicze, z których wszystkie rodzaje i gatunki istot żyjących rozwinąć się miały. Żadne formy zasadnicze istnieć nie mogły, to też uczeni odrzucają dziś teorję Darwina i w miejsce form zasadniczych, przyjmują pęcherzykowate jako formę pierwotną wszystkich stworzeń, roślin i zwierząt. Jeszcze daléj idzie Häckel. Według jego teorji istota organiczna powstaje z kuleczki (Monere) jeszcze mniejszéj niż wspomniana komórka. Kuleczki takie białkowate, w niezmiernych masach zalegają dno morskie. Z tych kuleczek powstało wszystko, nawet człowiek. Zwolennicy dawnego systemu zacięcie obstają przy dawnéj teorji, i odwołując się do duchowego stanu człowieka nie chcą wierzyć, że początek jego mógł być taki sam jak zwierzęcia. Atoli stan duchowy człowieka jest jedynie skutkiem i objawem rozwoju i udoskonalenia się jego mózgu. Prelegent pokazuje powiększone 500 razy rysunki zarodków człowieka, psa, kury i szyldkreta. Chociaż istoty te tak bardzo różnią się od siebie, zarodki ich zupełnie są jednakowe. Człowiek ma tu ogon równie jak pies, dopiero po niejakim czasie ogon ten u człowieka niknie, a u psa wykształca się coraz lepiéj. Streszczając wszystko dotychczas powiedziane, prelegent przychodzi do rezultatu, że nie pochodzimy od małpy, lecz od wspólnego rodzica małp i ludzi. Według fantazji Darvina człowiek pierwotny miał całe ciało włosami okryte, uszy spiczaste, ruchome, długi ogon, i doskonale drapał się po drzewach. Kobiety miały brodę i wąsy równie jak mężczyźni, czego pozostałość mają dotąd niektóre damy w postaci delikatnego puchu na górnéj wardze.

(d. n).

Pogadanka.

Gdyby pozory często nie zawodziły, to zdaje się że rozbrat z zimą stanowczo nastąpił. Ciepło wiosny przenika wszystko, w uśpioną przyrodę nowe wszczepia życie: pączki gałązek, źdźbła murawy, pierwiosnki, fijołki, przelot dzikich gęsi, klekot bociani, śpiew skowronków, brzęk pszczół a nawet natręctwo komarów, wszystko to barwą, wonią, głosem i.... kąsaniem wymownie świadczy, że królowanie wiosny już się rozpoczęło. W ślad za temi zwiastunami pory, zawsze świeżéj i wabnéj, zawsze pożądanéj i ulubionéj, Warszawa ganki osłania markizami, napełnia tłumami ogrody publiczne, popija wodę sodową, zajada szczaw i rzodkiewkę, a wzdycha do kurcząt, raków i szparagów.

Na Wiśle także znać wiosnę. Po modrych jéj falach przesuwają się berlinki, czasem mignie czółenko rotmańskie; ozwie się głos oryla lub krzyk wędrownego ptastwa, a nadwiślanin patrząc na jéj mruczące fale, dziś ciche, potulne, zaledwie w niewyraźnym szmerze szepczące coś tajemniczo, wyśpiewuje raźno:

Żeby to porzecza Wisła nie topiła,
Toby porzeczanka we złocie chodziła.

Nieszczęśliwe to złoto wszędzie wcisnąć się musi: coraz nowsze jego pokłady odkrywają w Ameryce i Syberji, a brak go zawsze i wszędzie, jakby świat był owym bajecznym smokiem wiecznie łaknącym a nigdy nienasyconym.

W Warszawie złota moneta zjawia się tylko w oknach wystawy wekslarzy i na tacach kwestarek wielkiego tygodnia, w prywatnych zaś szkatułach jest prawdziwym białym krukiem, pokazywanym i utrzymywanym jedynie na okaz, aby tradycja wypłacanych niegdyś posagów obrączkowem złotem nie zaginęła. Mimo tego przedsiębiercy teatrzyków widzą w niéj wyraźnie kopalnie tego drogocennego metalu, skoro z nadchodzącem latem, coraz w liczniejszych ogródkach urządzają sceny dla swoich przedstawień. Przed kilku laty Russanowski był pierwszy co dał im początek. Śpiewał wprawdzie ochrypłym głosem artyści często zapominali roli, brakło im nieraz nawet maleńkich przyborów scenicznych, nie psuło to jednak harmonji między widzami a sceną. Śpiewający po każdéj strofce, odchrząknął i przeprosił że ma chrypkę, widzowie podpowiedzieli na domysł co było niedouczone, artyści się zarumienili, publiczność zawrzała śmiechem, zaklaskano, zastukano, uśmiano dowoli, nażartowano, nadowcipkowano, w kassie suty grosz złożono, i czegoż więcej można było żądać?

Na drugi rok przybył Modzelewski, późniéj Stobiński, Trapszo, Ratajewicz, w roku zeszłym mieliśmy podobno sześć teatrzyków, a w tym zapowiadają przybycie jeszcze dwóch nowych. Teatralnej więc zabawy nie braknie Warszawie, oby tylko zawód żadną stronę nie spotkał, zarówno publiczność jak przedsiębierców.

Teatr zato nasz stały, jakby się lękał aby te świeże latorośle u stóp jego wyrastające, nie pokryły go cieniem zapomnienia, zabrał się nie na żarty do zasilania swego repertuaru nowościami i to oryginalnemi. Niedawno przedstawiono „Pracowitych próżniaków“ Bałuckiego komedję zaszczyconą akcessytem na konkursie krakowskim.

Sprzeczne zdania jakie o niéj pomieszczono w pismach perjodycznych, godne uwagi. Jeden z krytyków nazwał ją farsą posledniego gatunku, zaprawioną sosem społecznéj tendencji. Drugi przyznał jéj wielką wartość literacką i społeczną, oraz niepoślednią donosłość.

Trzeci powiada, że postacie niektóre w komedji p. Bałuckiego uwydatniły się wcale niezgorzéj i całość wyszła dobrze: czwarty zaraz oświadcza, że wszystkie postacie są w niéj blade, żadna nie spełnia missji przez autora jéj naznaczonéj, i że ten chcąc dać gromadę pracowitych próżniaków, powymyślał blade marjonetki. Co do gry artystów trzéj sprawozdawcy zgodzili się na jedno, że sztuka grana była ze starannością godną lepszéj sprawy, szła żywo i gładko i że artyści usiłowali zatrzeć niekonsekwencje autora w charakterystyce postaci, zbogacić je szczegółami własnego pomysłu, i że usiłowaniu ich istotnie autor i publiczność wiele mają do zawdzięczenia.

Czwarty co to przyznał jéj wielką wartość literacką, zupełnie przeciwnego zdania, całą winę niepowodzenia sztuki zwala na złą grę artystów i w nich jedynie szuka przyczyny, że w przeciągu całego pierwszego aktu ziewano, a następnie nudzono się tam, gdzie powinien się był każdy bawić i zająć.—Nadto grę pana Rapackiego bezwarunkowo gani, gdy tymczasem inny sprawodawca powiada, że była wyborną a dwaj jego koledzy potwierdzają to samo.

W tym chaosie tak sprzecznych zdań, gdzie prawda się mieści, któż odgadnie? — W sądzie o każdéj rzeczy, można w szczegółach się różnić, można w chwalbie lub naganie więcéj być oględnym i wyrozumiałym, ale żeby to nazywać czarnem co drugi białem być mieni, podnosić utwór jaki literacki do wielkiego znaczenia, gdy ktoś drugi mało mu zalet przyznaje, to zdarzyć się jedynie może pomiędzy krytykami warszawskiemi, wyrastającemi od pewnego czasu jak grzyby po deszczu, a szukającemi rozgłosu w sprzeczności z opinją ogółu, co ma niby niezawisłość i wytrawność sądu znamionować. Szczególniej te dwa ważne przymioty oceny krytycznéj, jak w innym razie tak i w sprawozdaniu o komedji p. Bałuckiego, niezmiernie podejrzanéj są natury. Przyzna

bowiem każdy, że sztuka co w przedstawieniu nudzi widzów jak to sam krytyk przyznał, nie może być dobrą jako utwór literacki, choćby ją największe powagi krytyczne za arcydzieło uznały. Gra zaś artystów zwłaszcza gdy ci do pierwszorzędnych należą, może być wadną w niektórych szczegółach, ale żeby była złą bezwarunkowo, żeby téj nudoty główną była przyczyną, czyż można przypuścić? Miała ona pewne niedostatki, ale i komedja p. Bałuckiego wielu zarzutom ulega. Biedna ta nasza krytyka, chromą była zawsze ale dziś obie straciła nogi i zmieniła się w cyrkowego skoczka, wrzaskiem i krzykiem pragnącego zwrócić na siebie uwagę. Dla czego tak się dzieje, dla czego to co gdzieindziéj bywa uwieńczeniem literackiego zawodu u nas stało się jego początkiem? Dla czego każdy kto tylko poczuje w sobie jakie takie zdolności i łatwość szermowania słowem, bierze patent na krytyka i pałaszuje piórem na prawo na lewo, siekąc wszystko jak kapustę w szatkownicy?

Odpowiedź na to nie trudna. Próżniactwo wyrosłe z zarozumienia głównym tego powodem. Chcąc być czemśkolwiek, trzeba się koniecznie czemuś poświęcić i wykształcić mozolną pracą w obranym zawodzie,—krytykiem można zostać zaraz, po porzuceniu studenckiego surduta, bez żadnych do tego poprzednich studji i przygotowań. To też w pismach naszych co krok spotyka się zarzuty nieznajomości rzeczy o któréj pisze krytykujący, nieświadomość w kwestjach które rozbiera, lub powtarzanie podsłuchanych najczęściéj źle teorji, zdań i opinji ludzi posiadających uznanie. Jeżeli ktoś wytknie blagerją i szarlatanizm, w całym obozie zaczepionych krytyków, powstaje hurgot jakby się świat walił, wszyscy wrzeszczą, krzyczą, z kozła robią barana, czepiają się słów, myśli przekręcą, obetną, przeinaczą, i poczciwego a pożytecznego pracownika zrobią osłem, a osła jeżeli trzeba mędrcem pierwszego gatunku. I przekonajże tu takiego, że się myli, że marnuje siły swego talentu w bezpożytecznéj pracy, że zamiast uczyć drugich stokroć lepiejby zrobił, gdyby sam przysiadł jeszcze fałdów i poznał to czego nie zna.

Patrząc na ten dziwny a tak szkodliwy zwrot literackiego zawodu, z różnych stron sypią się wezwania do podniesienia głosu w obronie prawdy, często najszkaradniéj lekceważonéj i poniewieranéj. Pan Jan Prusinowski na to milczenie prasy gniewa się nawet, i przytaczając wyjątek z pieśni ułożonéj przez niego na dzień zaduszny:

Za dusze zmarłe, co prawdę znali,
Lecz się jéj głośno wyznawać bali,
Zmów Anioł Pański!—

dodaje: że za tych wszystkich którzy w obec okrzyku fałszu boją się w imię prawdy odezwać, potomność taką odmówi modlitwę. Podobnie także przymawia nam i pan W. K. a domagając się gwałtem surowego karcenia płochych wybryków pióra, zarzuca brak odwagi tak niezbędnéj w redaktorskim zawodzie..

Pojmując to zacne oburzenie, mogę zapewnić obu szanownych korespondentów, że milczenia mego inne powody, dalekie od wszelkiéj bojaźni, ale i lekceważenia słów młodemi ustami wypowiedzianych. Rozum nie zawsze pod siwym kryje się włosem, ani pustka umysłowa w młodéj prześwieca głowie. Tam gdzie idzie o idee, zasady, i przekonania, szczerze i uczciwie rozwijane, można się na nie zgadzać, ale uszanować koniecznie należy bez względu na metrykę, choćby ta nawet pełnoletności mówiącego nie dowodziła. Tu zaś czyż panowie nie widzicie, że idee, zasady i przekonania, są tylko blichtrem, chrapliwym wrzaskiem trąbki jarmarcznego kuglarza, ściągającym do siebie gromadkę ciekawych i łatwowiernych. We wszystkich społecznościach, pasożyty i szarlatani wyrastają obok ludzi pracy i rzeczywistych zdolności; dotąd literatura nasza była wolna od tych jadowitych grzybów, dziś i na nią przyszła kolej, i gdy część młodzieży poczuwszy się powołaną do pracy myśli, ujęła pióro w rękę dając niepłonną nadzieję, że z czasem stanie się zaszczytem ojczystego piśmiennictwa, druga odwróciwszy się ze wstrętem od innych zawodów, zajęcie literata obrała za stan, pragnąc go wyzyskać, o ile można i jak można najkorzystniéj bez względu na środki do tego użyte.

Poniewieranie też wszelką zasługą, pomiatanie przeszłością, lekceważenie tradycji, wyszydzanie ogólnego uznania, prostem tego następstwem. Wszystko co było, było niczem, zerem, świat spał i ocknął się dopiero gdy oni przemówili. Każdy głos ośmieszyć, każde usta zamknąć, każdą powagę w proch zetrzeć, to jedyna ich dążność, jedyne staranie, jedyna nadzieja własnych korzyści. Strojąc się w powagę wielkiéj uczoności, z realizmu i pozytywizmu oderwane uchwyciwszy zdania, rozwinęli je do ostateczności, i w imię praktyczności przedają wszystko czem mogą rozporządzać, a w imię walki o byt stratowaliby nawet jedną połowę siebie, gdyby wiedzieli, że drugą obrzucą bogactwem!

A w słowach tych na nieszczęście nie ma przesady. Przechodziliśmy przez różne wypadki i okoliczności, byliśmy na wozie i pod wozem, popełnialiśmy smieszności i dzieciństwa, ale nie zapominaliśmy nigdy że człowiek nie samym żyje chlebem, ale i duchem.

Dziś duch to mrzonka zacofanych półgłówków, jakże więc z podobnemi apostołami wstrętnego nihilizmu, można wchodzić w jakiekolwiek rozprawy, wykazujące szkody jakie całéj społeczności przynoszą? Czyż to im o nią idzie, o jéj istotne dobro? Co ich obchodzi społeczność, świat i ludzie, co rodzinne kąty zdobne pamiątkami idealistów, często o chłodzie i głodzie zachwycających się ich wspomnieniami? Dziś, to ich pan i zbawca: co było, pal je licho! co będzie mniejsza o to! aby na dziś, aby do czary życia przytknąć usta i pić rozkosz aż do zadławienia. Idee szaleńców przeszłości, cnota, piękno, poświęcenie, cicha zasługa, to głupstwa, głupców tylko warte oklasku. Nowocześni realiści i pozytywiści śmieją się z tak naiwnych prostaków, i pusząc się na szczudłach z samolubstwa, wystruganych, biją pokłon cielcowi złotemu, myśląc jak mu wyrwać choć włos z głowy, jeżeli nie palec albo całą nogę. Dajmy więc im pokój, czekajmy aż złość dojrzeje i sama społeczność opatrzy się i odepchnie ze wzgardą i oburzeniem tych, co pod nawałem słów pięknych zarzucają wędki na łatwowiernych.

DROBNE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Lord Epwellfey wielki zwolennik muzyki a przytem dziwak, dawał w roku 1781 wielki wieczór w pałacu swoim w Londynie. Zaproszono najznakomitsze osoby. Gdy się goście schodzić zaczęli, lord wprowadzał ich do bocznych salonów, podczas gdy główna sala z umysłu słabo oświetlona, była zupełnie próżna. Nadto pozamykano w niéj wszystkie okna, a nawet drzwi, z wyjątkiem wchodowych.

Po niejakim czasie jakiś gość świeży wchodzi do sali i dziwi się, że nikogo nie zastaje, że światła tak mało. Sądząc, że przyszedł zawcześnie, założył w tył ręce i zaczął się przechadzać. Wkrótce potem przyszedł drugi gość i podobnież zdziwiony, że tylko jedną zastaje osobę, ukłonił się pierwszemu, i podobnie jak on zaczął się przechadzać w milczeniu.

Minęła chwila. Pierwszy znudzony chodzeniem usiadł przy fortepianie i jakaś prześliczna melodja wypłynęła z pod jego palców. Wkrótce myśli jego przybrały okrąglejszą formę. Drugi stanął, słuchał, a potem usiadł przy drugim fortepianie i pochwyciwszy myśl tamtego, wysnuł z niéj jakiś idealny temat. Pierwszy odpowiedział mu natychmiast a to wywołało znów odpowiedź drugiego. Tak rozmawiali z sobą godzinę, w sposób tylko dla siebie samych zrozumiały, aż nareszcie jeden odwrócił się nagle i zawołał:

— Pan jesteś Clemente!

— Pan jesteś Mozart odrzekł drugi.

Obadwa nigdy się nie widzieli. Przejęci dla siebie wzajemnym podziwem i szacunkiem, jakże się ucieszyli tem niespodziewanem spotkaniem! Uściskali się i łzy rozczulenia zabłysły w ich oczach. W téj chwili otworzyły się nagle drzwi bocznych salonów i grzmot oklasków powitał dwóch wielkich artystów. Lord Epwellfey nie posiadał się z radości.

Różne wiadomości.

— W mieście Moskwie, na propozycją p. Ketczera, otwarta została prywatna pracownia dla niemających przytułku. Mosk. Wied. podają o téj pracowni między innemi co następuje: „Każdy co po odcierpieniu więzienia z wyroku sądowego, i po wypuszczeniu na wolność, uzyska pozwolenie pobytu, może zgłosić się do tego domu i mieć przytułek za umiarkowaną opłatą, dwa ruble miesięcznie, i zdrowy posilny pokarm za 17 kopiejek dziennie.

Pod takiemi warunkami zapewne znajdą się inne miejsca, ale w tych miejscach potrzeba będzie pomyśleć, zkąd wziąć pieniądze na opłacenie komornego i wiktu, w zakładzie zaś p. Ketczera, nie zapytują interesanta, czy ma pieniądze, a dając mu przytułek i utrzymanie, zaproponują zarazem sposób opłacenia tychże: umiejącym jakiekolwiek rzemiosło dają robotę, materjał i potrzebne narzędzia do wykonania téj roboty; w przeciwnym razie wyznaczają robotę, jaką może wykonać każdy nie znający rzemiosła. Z zarobionych pieniędzy, potrąca się opłata utrzymania, a reszta oddaje się komu należy, przy opuszczeniu zakładu. W czasie zaś pobytu w zakładzie, właściciele zapracowanych pieniędzy, lubo nie tracą prawa rozrządzania swą własnością, ale wydatkować je mogą tylko na istotne swe potrzeby.

Ściśle porządne życie, oszczędność, stosowne użycie czasu na zatrudnienia i wolne chwile, stanowiące główne zasady tego zakładu, muszą wpłynąć na moralność czasowych jego lokatorów, i można spodziewać się, że pobyt w tym zakładzie stanie się dla wielu niezawodnie pożytecznym, odzwyczajając ich od złych nałogów i skłonności, a przyzwyczajając zwolna do porządku, pracy i oszczędności.

JW. jenerał gubernator moskiewski i inne znakomite osoby, chlubnie odezwały się o zakładzie pana Ketczera. Pp. Polakow i Gubonin, konstruktorowie kolei żelaznych, ofiarami swemi wielce przyczynili się do urządzenia tego pożytecznego zakładu.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz Prospekt na: **Klejnoty humoru polskiego.**

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 15 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Północ biła właśnie, gdy siedziałem w moim pokoju rozmyślając o wrażeniach dzisiejszego wieczoru. Szeregiem przechodziły przede mną wszystkie wybitniejsze postacie.

Z aureolą szczęścia i pogody, przepłynęła jak lekka fala Albina z figlarnym uśmieszkiem i znikła po za kotarą sypialnego pokoju. Obok niéj z radością na twarzy postępował zwolna pan Karol jéj mąż, i widocznie był szczęśliwy, że taki skarb posiada.

Za tem szczęśliwym małżeństwem nastąpiły inne figury. Aspazja z ukośnemi oczyma, pan Miecio ze swoją podżyłą narzeczoną, a cały ten szereg zamknęła piękna Karolka z najeżonemi brwiami. Przy niéj zatrzymałem się dłużéj.

— Cóż może być tragicznego w téj kobiecie, pytałem siebie przypominając sobie słowa Aspazji, wszak w jéj atmosferze nic nie widziałem! W najlepszym razie może być jedną z tych pospolitych kobiet, które wyszedłszy za mąż dla majątku, uzupełniają potem szczęście swoje po za granicami matrymonialnych zobowiązań!

Kiedy tak sobie rozmyślałem, stojąca przedemną świeca oświecała w pierwszym planie spory stos białego papieru, który od kilku dni przygotowałem dla nowéj powieści.

Papier ten nasunął mi różne myśli. Myślałem o tem, co na nim kiedyś napisanem będzie....

Tym sposobem wrażenia dzisiejszego wieczoru weszły zwolna w przygotowany do powieści materjał i zrobił się z tego jakiś dziwny nierozplątany chaos!..

Zmrużyłem oczy i pozwoliłem temu chaosowi kłębić się i rozwijać. Czekałem cierpliwie co z tego wszystkiego wyniknie. Ciekawy byłem, o ile wyniesione ze świata obrazy spłyną się z obrazami fantazji, i jedne drugie uzupełnią....

Chwila taka jest dla autora nadzwyczaj ważną. Wtedy szuka on stosownych modeli z życia rzeczywistego któreby pozowały mu do dzieła sztuki, co właśnie rodzi się w jego duszy!

Jeszcze raz przywiodłem sobie do pamięci wszystkie widziane dzisiaj figury i figurki—ale na nic mi się nie zdały. Byli to ludzie zwyczajni, bez żadnych wyższych namiętności, stosujący się do swego otoczenia—zdatni do sylwetek a nic więcéj!

Aspazja żółciowa stara panna, która najwięcéj mogłaby służyć początkującemu pisarzowi do płaskiéj komedji—pani Kamilla, tuzinkowa młoda kobieta ze starym mężem—panna Herwina, pospolity towar który może być wywieziony w pierwszym lepszym czterokonnym powoziku—parę starych młodzieniaszków... jakiżby to obrazek z tego utworzyć można? Cóżby na to powiedział krytyk z roztrzępioną brodą, który bez papryki i czosnku żadnéj potrawy z apetytem nie jada?

Z kądże to inni pisarze jak Szekspir, Göthe, Bulver, Dickens brali owe znakomite modele, które tchną takim czarem i prawdą? Czy społeczeństwo ich było inne? Czy to tak znakomite typy żyły pośród nich? Czy u nas wszystko jest tak maluczkie i jednostajne? A jeśli są jakie znakomite modele, gdzież się kryją i w jakich tajnikach trzeba ich szukać?...

Tak rozmawiałem sam z sobą, patrząc na nieubłagany biały papier, który w żaden sposób nie chciał się sam zapisać....

I szczególna myśl przyszła mi do głowy.

Przypomniałem sobie, że w jakiejś książce nader ciekawe rzeczy czytałem o—spirytyzmie!

Wyznawca spirytyzmu utrzymywał: że wszystkie nasze funkcje umysłowe odbywają się za pomocą duchów usłużnych.

I tak naprzykład: jeżeli autor pisząc powieść zmyśla sobie w tym celu różne postacie, typy i fakta; to według nauki spirytyzmu nie są to bynajmniéj rzeczy zmyślone, ale rzeczywiste, które albo się dopiero dzieją albo już się stały.

Tacy więc ludzie jak Otello, Poza, Götz, Pickwik, Dombey nie są to utwory wyobraźni autorskiéj, ale postacie rzeczywiste, których duchy, siłą woli autora wywołane weszły na chwilę do mózgowego jego aparatu, i tam mu jako modele pozowały!...

To samo da się powiedzieć o treści powieściowéj, która nigdy nie jest dowolnem zmyśleniem, ale odbiciem rzeczywistego faktu. Fakt ten z po za obrębu autorskiego widnokręgu przywołany siłą jego woli, wszedł do jego wyobraźni i tam się w całości odtworzył!...

Rozumie się, że to odtwarzanie się zależne jest od umysłowych narzędzi autora, z czego wypływa, że nie zawsze obraz jest dobry i wierny.

To samo dzieje się nietylko z duchami nieboszczyków, ale nawet i żyjące osoby mogą do wyobraźni antora wysłać swoich sobowtórów, które tam odegrają mu różne charakterystyczne sceny....

Pisarz więc opisujący dawne postacie, lub dzisiejsze oryginały nie jest niczem innem jak tylko pewnem „medium", za pomocą którego mówią do nas i malują się oryginalni ludzie i rzeczywiste zdarzenia!

Tak mniéj więcéj wyobraża sobie wnętrze człowieka nauka o spirytyzmie, która w téj chwili bardzo mogłaby mi dopomódz.

Cóż to bowiem byłaby za rozkosz, gdybyśmy pierwszego lepszego oryginalniejszego człowieka mogli przywołać sam na sam do siebie, aby się nam ze wszystkich tajemnic swoich wyspowiadał?... Z jakimże naprzykład zadowoleniem, mógłbym badać sekreciki owéj blondynki z Saskiego ogrodu, która mnie zawsze tym zagadkowym uśmiechem intryguje?...

Jak wielce byłby ułatwiony zawód powieściopisarza, który potrzebowałby tylko stenografa, aby mu jednak najprędzéj to wszystko podyktować, co w komórce swojéj duszy widzi i słyszy!..

Tak sobie właśnie marzyłem i nie widziałem wcale, że świeca dopala się coraz więcéj, że głosy wielkomiastowe coraz bardziéj przycichają, i że właśnie nad stolicą rozpostarła się już nieprzebita opona ciszy i grobowego milczenia....

Myśli moje i marzenia stawały się coraz szybsze, co raz dziwniejsze. Jak błyskawice przerzucały się z jednéj sfery w drugą.... Wreszcie zdawało mi się, że mnie odbiegły, i gdzieś po za obrębem mojéj głowy unosiły się w powietrzu....

Dalszego wątku nie mogę ich sobie dobrze przypomnieć. Nie wiem nawet, czy to co potem nastąpiło, rzeczywistem było widzeniem, czy tylko sennem marzeniem?....

Widziałem jednak dobrze stojącą przedemną świecę... widziałem nawet jak lekki podmuch wiatru, przez otwarte okienko poruszał jéj płomykiem to na prawo, to na lewo... słyszałem nawet wyraźnie, jak zegary w mieście wybijały po kolei godzinę pierwszą po północy... słyszałem w końcu metaliczny brzęk muchy, którą na samym wstępie do snu zimowego nielitościwy pająk pochwycił i okrutnie zabijał!...

Wszystko to słyszałem wyraźnie, a nawet cień mój własny w olbrzymich rozmiarach widziałem na podłodze.... gdy nagle na rozścież drzwi się otwarły!

Zimny prąd powietrza wionął od progu i zamigotał płomykiem świecy.

Prąd ten musnął potem po mojéj twarzy...

Patrzałem w otwarte drzwi...

We drzwiach pojawiła się dziwna postać!

Był to jakiś obdartus z czerwonym nosem i w połamanym kapeluszu na głowie. Kroki jego były chwiejne jak u pijanego człowieka. W brzydkich ustach trzymał krótką fajeczkę z białéj glinki, i od czasu do czasu puszczał przed siebie siny dymek nieznośnego odoru....

Zakstusiłem się od tego dymu i czemprędzéj sięgnąłem po rewolwer, bo myślałem, że mnie jakiś rozbójnik napadł!

Ręka jednak moja była bezwładną...

Uśmiechnął się na widok mojéj niemocy obdartus, a zdjąwszy kapelusz rzekł do mnie z miną bohatera

— Nie przestraszaj się mojéj postaci. Nie przychodzę do ciebie z nożem, ale z oliwną gałązką. Dowiedziałem się właśnie, że potrzebujesz jakiego efektownego bohatera do powieści. Oto przychodzę aby ci kilka chwil pozować...

Rzekłszy to odrzucił kapelusz na bok, a sam usiadł na fotelu naprzeciwko mnie paląc daléj fajeczkę.

Patrzyłem na niego jak na senne widmo i nie mogłem jeszcze tego wszystkiego pojąć i zrozumieć. Mieszkanie moje było zamknięte, zkąd mógł się wziąć o téj porze ten bezczelny obdartus?

A zadziwienie moje doszło do najwyższego stopnia gdym się w niego wpatrywał i obaczył, że był jak szkło przezroczysty!....

Mogłem nawet wyraźnie widzieć przez jego piersi wzory adamaszku, jakim był fotel wybity... Przez jego głowę widziałem sztychy wiszące na ścianie tak wyraźnie, jak gdybym bezpośrednio na nie patrzał!....

Widząc moje zadziwienie, uśmiechnął się obdartus z lekceważeniem i rzekł:

— Nie lękaj się, nic ci złego nie zrobię. A nawet gdybym chciał, nie mógłbym ci nic uczynić! Jestem tylko cieniem człowieka, który w téj chwili siedzi w szynku pod „niewinnym banaszkiem" i fajkę z krótkiego cybuszka pali!...

— I czegóż chcesz ode mnie? zapytałem.

— Przyszedłem powołany silną wolą twoją, aby ci służyć za model do powieści!

I przybrał pozę człowieka, który przed artystą do konterfektu siedzi.

— Powiedz mi naprzód przyjacielu, rzekłem do niego, kto jesteś i co dotąd na bożym świecie robiłeś że się tak dobijasz na bohatera do powieści?

— Dwa dni jak wyszedłem z kryminału, odparł obdartus. Posądzono mnie, żem ukradł dwa woły i w dodatku pastucha zabił. Podejrzywanie podobne spotykało mnie już kilka razy. Raz gdy umierałem z głodu włamałem się do jakiejś izby zakratowanéj, w mniemaniu, że to była spiżarnia. Łaknąłem bowiem tylko jednego bochenka chleba. Tymczasem była to przypadkowo kasa bankiera...

— I czegóż chcesz ode mnie?

— Chcę być bohaterem powieści. Słuchaj: dwa razy byłem już pod szubienicą.. a wszystko to stało się tylko przez nadzwyczajny zbieg nadzwyczajnych okoliczności...

— I ty łotrze chcesz być bohaterem powieści! krzyknąłem i sięgnąłem znowu po rewolwer.

Uśmiechnął się na to obdartus i odparł:

— Widzę tylko że nie masz talentu Wiktora Hugo, bo inaczéj byłbyś ze mnie wystrugał takiego bohatera, jaki w żadnym romansie jeszcze nie postał! Ileż to drastycznych sytuacji mógłbym ci dostarczyć.

— Nie przeczę, że tylko tak potężny talent jak Hugo mógłby się imać tak nędznego materjału!...

Spokojnie na to odpowiedział obdartus:

— Chciałem ci wyświadczyć przysługę, a ty nie umiesz mnie ocenić. Wyobraź tylko sobie, coby to były za efektowne sceny: noc straszna.... burza z piorunami.... rozigrane morze... na łódce samotny człowie... rozbójnicy przy brzegu... szubienica z wisielcem... kasa Wertheima i bochenek chleba... tortury, noże, sztylety, rusztowania... A co, czy ci nie stają włosy na głowie?

— Ależ łotrze, zawołałem, a sens moralny gdzie?

— Sens moralny? Nic łatwiejszego!... Naprzykład któż temu winien, żem nie został komisarzem od akcyzy tylko złodziejem?.... Społeczeństwo! Któż temu winien żem się włamał do kassy bankiera zamiast do śpiżarni?... Społeczeństwo! Co mnie zaprowadziło pod szubienicę?.. wadliwy kodeks społeczeństwa. Dla czego dzisiaj wódkę piję i po szynkach się walam? bo ustawy społeczeństwa są bezlitośne i napiętnowały mnie!... Czyż to nie wyborne sensa moralne?

Spojrzałem w pierś tego człowieka i obaczyłem, że kłamie nielitościwie. Był sobie prostym zbrodniarzem, a chciał się podszyć pod ofiarę wadliwych narzędzi społecznych!

— Precz mi łotrze! zawołałem, podobnych modeli nie używam w mojéj pracowni! Jesteś po prostu złodziejem!

Zapewne ludzie żyjący mają nad duchami wielką przewagę, bo na moje nieco gwałtowne słowa obdartus nie tylko nic nie odpowiedział, ale natychmiast wstał i pokornie za drzwi się wyniósł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, zaturbowało się moje sumienie autorskie i pomyślałem sobie:

— Możeby i nie źle było zatrzymać tego łotra do jakiéj podrzędnéj roli! A nie dałbym ani szeląga, że ode mnie pójdzie do jakiego fabrykanta „zajmujących romansów" i ten wystroi go na bohatera w kołpaku papierowym, a publika cieszyć się będzie jak drugim Rynaldynim?...

Zaledwie te słowa półgłosem wyrzekłem, zaszeleściała we drzwiach jedwabna suknia, a do pokoju weszła trochę podtyła dama w długiéj sukni.

— Przepraszam, ozwała się przy progu poprawiając szyniona— czuję mocno niestosowność takiego kroku, (tu przytknęła chustkę do oczu) ale w życiu są tak ważne momenty...

Spostrzegłem także, że to był tylko cień pogrążony w téj chwili we śnie kobiety, bo była mimo blanszu i różu tak przezroczystą, że przez nią widziałem wyraźnie na tapetach arabeski...

— Któż pani jesteś? zapytałem.

Wyjątkowa kobieta usiadła na fotelu, poprawiła przyprawione loki i brwi i rzekła:

— Kto jestem — o tem długa historja. Chcę panu służyć za bohaterkę do powieści, a ręczę że w książce sprawię efekt!..

— Przedewszystkiem muszę znać historję pani!

— Krótko mówiąc, byłam młodą ładną dziewczyną. Kochał mnie czeladnik mego ojca, bardzo poczciwy chłopiec. I byłabym może poszła za niego, gdyby nie pewna kobieta. Przyszła do mnie i powiedziała mi, że upodobał sobie mnie jakiś młody hrabia i przysłał mi bardzo ładne sukienki. Byłam niedoświadczoną, uciekłam od ojca i czeladnika, a po krótkiéj przyjaźni z hrabią, tułałam się po szerokim świecie aż do czasu, w którym przez nadzwyczajny zbieg nadzwyczajnych okoliczności, musiałam szukać przytułku w pewnym domu publicznym...

— Więc jesteś prostą ofiarą prostytucji!

— Tfe! Któż tak mówi! Widać, że nie czytasz z uwagą młodego Dumasa, któremu moje koleżanki nieraz przychodzą pozować!...

— Nie zazdroszczę mu takich modeli.

— Dla czegóż tak płytko sądzisz o nieszczęśliwych ofiarach wadliwego urządzenia społeczeństwa? Czy sądzisz, że na śmiecisku życia nie mogą być perły? Oto patrz na mnie! Byłam po różnych miejscach i panach, ale dusza moja czysta jak szczere złoto, a jeśli kiedy ulegałam pokusie świata, to wpływały tylko na to nadzwyczajne okoliczności, kamienne serca ludzkie, przesądy towarzyskie, a w końcu głód, nędza ...

— Dosyć téj retoryki moja pani, odrzekłem, drogi ubóstwa są proste i łatwe, byle tylko kontentować się sferą ubóstwa! Mogłaś wyjść za czeladnika i być dzisiaj poczciwą majstrową... rozumie się bez aksamitów i złotych maneli!

— Przecież w zagranicznéj literaturze robimy furorę!

— Być może, ale dla nas jesteś towarem niepotrzebnym!

— Wszak i w naszéj literaturze probowano już podobnych modeli!

— Tem gorzéj, że śmiecie podobne już się u nas zagnieżdżają!

— Widzę że ci brak talentu dla takich bohaterek!

— Proszę odejść!

Powoli zaczął blednąć przedemną blansz i róż niefortunnéj kandydatki na bohaterkę—zblakła i suknia pąsowa z długim ogonem, aż wreszcie pozostał próżny fotel.

Gniewało mnie, że zamiast szlachetnych i znakomitych modeli, złaziła się do mnie jakaś plugawa czereda, między którą brakowało mi tylko złowieszczego widma „à la Barbara Ubryk," które właśnie po bruku warszawskim z takim sukcessem debiutowało!...

Śród takich myśli nie spostrzegłem nawet, że miałem u siebie nowego gościa.

Czarna, wyniosła postać przechadzała się po moim pokoju. Miała suknię długą, chustkę na szyi à la Marie Antoinette; ażurowe rękawiczki i aksamitne buciki na wysokich korkach. Gruba czarna woalka zakrywała jéj czoło aż do połowy twarzy, z pod któréj błyszczały ku mnie parę oczu jak węgiel czarnych.

Na moje zapytanie nic nie odpowiedziała, tylko tajemniczo uśmiechnęła się, i daléj przechadzkę po pokoju odbywała.

Kobieta ta zaintrygowała mnie swojem wyzywającem — milczeniem.

— Proszę usiąść, zawołałem, i powiedzieć mi, kto pani jesteś?

Z filuternym uśmiechem usiadła czarna dama, a zasłaniając ustawicznie twarz zgrabnym wachlarzykiem rzekła do mnie:

— Pragniesz modelu do powieści. Powieść bez kunsztownéj i skombinowanéj intrygi, jest jak sztuka mięsa bez musztardy. Otóż przychodzę pozować ci za bohaterkę z całym zapasem moich intryg, a obaczysz jak twoją powieść będą czytelnicy pożerać!

Rozśmiałem się na tę propozycje i odparłem:

— Dzieło sztuki powinno zajmować najwyższą prostotą. Intryga w powieści jest rzeczą podręczną a jeśli gdzie pierwszą rolę odgrywa, to daje świadectwo o ubóstwie książki!

— Jakto? Czyż w życiu nie polega wszystko na zręcznéj intrydze?

— Być może ale nie w sztuce!

— Czemże zająć czytelnika?

— Najprościejszemi środkami można wywołać największe efekty!

— A zkąd wziąść takich środków.

— Na zwykłych drogach życia jest ich pełno!

Rozgniewana intrygantka szybko powstała z fotela i zwróciła się ku drzwiom.

Na progu spotkała się z wchodzącą właśnie kobietą. Stanęła zadziwiona i wzrokiem pogardy zmierzyła przybyłą.

— Jak to? zawołała z ironią, i takie lalkowate istoty, które w ciele swojem nie mają ani krwi ani żółci... istoty z wyuczonym uśmiechem, wziętym wprost z ostatniego żurnalu, którym w życiu niczego nigdy nie brakuje prócz marzeń i namiętności!.. Takie istoty chcą także pozować na bohaterki powieści?

To rzekłszy rozśmiała się głośno i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Tymczasem młoda kobieta nieśmiałym krokiem zbliżyła się do mnie.

Mimo chłodnego wieczoru miała na ramionach zarzucony biały elegancki płaszczyk, jakby dopiero co od gotowalni wstała. Wiotka przezroczysta prawie suknia owijała cudowne jéj kształty, a złotem haftowany pantofelek wychylał się wstydliwie z pod białych jak śnieg szlarek....

Przyniosła z sobą jakąś wonną, orzeźwiającą atmosferę...

— Witam panią, zawołałem szybko jakby do dobréj znajoméj, choć nie wiedziałem kto ona jest, bo twarz miała do połowy zasłonioną grubą podwójną koronką.

Młoda kobieta stała chwilę przede mną jakby się wahała, potem nagłym rzutem ręki podniosła zasłonę z twarzy i rzuciła się prawie bezwładnie na pobliski fotel.

Przebóg! I kogoż ujrzałem?

Była to—Albina.

Ale nie... to nie była ona! Jéj twarz wiecznie uśmiechnięta i wiecznie pogodna, była teraz rozogniona jakiemś pożerającem bolesnem uczuciem!

Zakryła oczy, a obfity strumień łez spłynął po jéj twarzy.

— Na miłość Boga! zawołałem, czy mnie oczy nie mylą? Czy dobrze widzę?

— To ja jestem! odpowiedziała tym czystym metalicznym głosem, który tak dobrze był mi znany

— Czyż to być może? zapytałem zdziwiony, czyż podobna, abyś pani z tym wiecznym uśmiechem szczęścia i pogody....

— Odsłonię ci mą duszę, szepnęła z cicha, a obaczysz, że pod tym uśmjechem szczęścia...

— To być nie może!

— Jestem najnieszczęśliwszą z kobiet!.. Posłuchaj!

W téj chwili silny brzęk, jakby brzęk stłuczonéj szyby rozległ się po pokoju, i nagła ciemność otoczyła mnie w koło.

Zerwałem się na nogi, zaświeciłem zapałką, ale świecy, która stała przedemną już nie było.

Stał tylko próżny lichtarz z pękniętem szkiełkiem... świeca dopaliła się do ostatku.

Zaświeciłem inną, spojrzałem na fotel—na fotelu nie było nikogo!

Obszedłem cały pokój, obejrzałem drzwi, które były zamknięte... nigdzie śladu tego, co przed chwilą tuż przed sobą widziałem!

Czy to wszystko było snem tylko? Czy znużony dzisiejszym wieczorkiem zasnąłem na fotelu nie zdążywszy do łóżka?..

Spojrzałem na zegarek—była godzina po północy

V.

Rano przebudziłem się z bólem głowy. Widma czy raczéj sny wczorajsze i wspomnienia wieczorne zblakły wprawdzie przy świetle dziennem, jak wszystko to czem wyobraźnia nas durzy, mimo to biała postać Albiny z rozpuszczonemi włosami i łzami na twarzy, nie mogła mi w żaden sposób zniknąć z przed oczu... Stała przedemną nieustannie jak Niobe płacząca...

Brałem różne książki do ręki, przesuwałem dzienniki, Albina stała zawsze przedemną z tym samym smutnym wyrazem na twarzy!

Jak to? pomyślałem sobie, czyż podobna, aby ta szczęśliwa i zawsze uśmiechnięta kobieta miała w duszy jakąś tajemnicę, która ją boli i nęka?.. Nie, to być nie może! Kobiety podobne do niéj, nie potrzebują żadnych tajemnic duszy, bo łódka ich życia ślizga się tylko po wierzchu fali! One nie widzą co tam w głębi leży!

Życie w nich to zbiór drobnych fraszek i drobnych rozrywek, na które potrzeba tylko—pieniędzy! Życie u nich to tylko ciągła sztuka, a cały tród ich zależy na tem, że się téj sztuki uczą!

Cóż więc może u nich łzy wyciskać?... Nie, Albina prawdopodobnie nie zna nawet łez, opływa ona we wszystko to, co jéj szczęście stanowić może! Widzenie moje było snem kapryśnym, który dalekim jest od rzeczywistości!..

Tak tłumaczyłem sobie to widzenie. Mimo to jednak nie mogłem się uspokoić. Przyczyniały się jeszcze do tego słowa Aspazji, wyrzeczone do mnie na wczorajszym wieczorze, które widocznie trącały o jakąś tajemnicę zakulisową.

Jakaż mogła być ta tajemnica?

Na wiele cudzych tajemnic natrafiłem w życiu, ale rzadko kiedy brała mnie ochota dotrzeć do szczegółów tych mniemanych tajemnic.

Tajemnice bowiem podobne najczęściéj nie są tajemnicami dla świata, tylko dla tych, których się bezpośrednio tyczą. A szczegóły takich tajemnic są wszystkie tak do siebie podobne, że znając jedną zna się wszystkie!

Nawet wszystkie owe upiększenia, owe motywa rozgrzeszenia lub potępiającego wyroku, są już aż do przesytu znane i pewnie nikt ich dzisiaj nie weźmie za dobrą monetę—wyjąwszy początkujących romansopisarzy!

Należy to już do prawdziwéj tandety powieściopisarskiéj, jeśli autor zapoznaje nas z kobietą zdrożną i występną, a chcą ją usprawiedliwić nazywa ją kobietą wyjątkową, niezrozumiałą!...

Również do staréj steranéj tandety należą owe modele kobiet grzesznych, które tem się tłumaczą, że nie mając doświadczenia wyszły za mąż nieszczęśliwie, zmuszane namową ciotek lub względami majątkowemi!..

Każdy złoczyńca tłumaczy się nieświadomością złego uczynku—ale pierwszy paragraf karnéj ustawy mimo to orzeka, że nieświadomość prawa nie uniewinnia!

A serce nie jest nigdy nieświadome tego co czyni. Wie ono dobrze, czy kocha człowieka, czy próżność lub pieniądze!...

Tajemnice więc zwykłych zdrożności serca nie są zbyt ciekawe—bo pozbawione kunsztownych upiększeń, w które dzisiaj nikt nie wierzy, redukują się do bardzo pospolitych wykroczeń.

Słowa zatem Aspazji, trącające a jakąś zakulisową tajemnicę, nie budziły we mnie wielkiéj ciekawości. Ciekawość moja była innego rodzaju.

Przedmiotem téj ciekawości była sama Albina.

Wszystko to, co ze słów Aspazji do niéj odnieść można było, zdawało się być nieprawdopodobnem.

Gdyby zaś tak było w istocie, gdyby Albina mimo wszelkich pozorów szczęścia i zadowolenia, nosiła w duszy swojéj cierń smutku lub wyrzutu, i z tym cierniem tak szczerze i serdecznie, do świata się uśmiechała—toby była dla mnie niepospolitą zagadką psychologiczną!

Z tego względu zaniepokoiła mnie i stała się dla mnie ciekawym przedmiotem obserwacji i studjów.

Zacząłem więc od najpospolitszych podejrzeń. Serce Albiny mogło sprzeniewierzyć się zaprzysiężonemu towarzyszowi życia, i upodobać sobie dla kaprysu jakiego innego śmiertelnika.

Któżby mógł być tym wybranym?

Przeszedłem w pamięci wszystkich tych których kiedykolwiek w jéj domu lub przy niéj widziałem, i nie znalazłem nikogo, komubym mógł sumiennie ją rzucić na ofiarę!

Jedni byli ludzie bardzo zacni, inni za mało zacni. Albina nie mogła się zniżyć do ostatnich.

Szukałem daléj.

Widziałem czasem, że biegli w sprawach budoarowych używali téj dyplomacji pospolitéj, aby przed światem odmienne od swoich własnych odgrywać role. Udawali więc obojętnych, czasem nawet mało znajomych, a najczęściéj nieprzychylnych osobie, któréj wiernie i z uniżeniem służyli.

Zdawało mi się, że między tymi znalazłem kogoś, któryby mógł podobną rolę odgrywać.

Utwierdzało mnie jeszcze w tem przypuszczeniu to, że tego człowieka często widywałem zatopionego w rozmowie z panią Kamillą,która była nieodłączną przyjaciółką Albiny, a o któréj wyraziła się Aspazja na wczorajszym wieczorze, że jest aktorką jakiegoś tragicznego dramatu!

Było to wprawdzie tylko przelotne podejrzenie, z którem taiłem się sam przed sobą, i do którego nie byłbym się przyznał przed najlepszym przyjacielem! Tworzyło ono jednak pierwszy krok moich studjów, choćby na to tylko, aby jak najprędzéj upadło!

Korzyścią już jednak dla mnie było, żem wychodził z pewnych danych. Mogłem je sprawdzić, odrzucić i przystąpić do innych.

Przedewszystkiem chodziło mi o zapoznanie się z przedmiotem moich obserwacji, do czego miałem oko moje przysposobić.

Od usposobienia oka bowiem zależy wiele.

Jeżeli nie jesteśmy uprzedzeni, jeżeli ktoś mimochodem nie zwrócił na coś naszéj uwagi—to możemy godzinami w jedno miejsce patrzeć i nic tam nie obaczymy!

Podobnie dzieje się gdy w jasne niebo patrzymy. Prócz jasnego przestworza, prócz białawéj fantastycznéj łamiącéj się mgły nic tam nie widzimy. A niech kto powie, że tam pod obłokiem lata orzeł jak komar mały, to spojrzawszy po raz wtóry, obaczymy go.

Takiem uprzedzonem już okiem chciałem teraz patrzeć na Albinę. Zdawało mi się, że obaczę rzeczy, których pierwéj nie widziałem!

Jakoż nie długo czekałem na sposobność. Mogłem albo zaspokoić moją ciekawość, albo ją jeszcze w trójnasób powiększyć.

VI.

Za kilka dni była herbata u państwa X...

Wiedziałem, że tam zastanę wszystkie osoby, które mnie w téj chwili mocno interesowały.

I nie omyliłem się wcale.

Zaledwie do salonu wszedłem, uderzył zaraz w moje ucho wyróżniający się z całego towarzystwa głos dźwięczny metaliczny.

Poszedłem okiem za głosem i ujrzałem Albinę siedzącą na fotelu, uśmiechniętą jak zawsze pogodnie.

Albina miała suknię jedwabną koloru perłowego z białym ubraniem. We włosach jaśniała tylko jedna blada róża. Biały, pierzasty wachlarzyk dostarczał rękom potrzebnéj zabawki, które w ustawicznym ruchu prawie niemiłosiernie z nim się obchodziły.

Twarz Albiny była, jak zawsze, blado różowa. Żadna nierówność nie psuła jéj gładkiéj jak marmur świecącéj powierzchni. Wszystkie fibry téj twarzy grały jednakiem życiem, najmniejszego rozstroju nie było widać między niemi. Zgoda jak największa i spokój niezachwiany panowały tam od pierwszych uderzeń serca. Żadna choćby przelotnie uczuta namiętność nie zostawiła tam śladu. Słowem była to twarz, na któréj malowało się tylko ciche, spokojne, niczem niezamącone szczęście duszy, nie pragnącéj żadnych żywszych uniesień.

Oczy miały ten sam wyraz. Podłużnie rozcięte długą rzęsą do połowy zakryte, podobne były do najpiękniejszéj emalii. Wszystkie linje były piękne i starannie zaokrąglone, kolory niezrównane. Odbijała się w nich pogoda duszy taka sama, jaka malowała się na całéj twarzy.

Jakże inną była ta twarz owéj Albiny, która jako senne widmo przedstawiła się owéj nocy oczom moim!

Jakże inaczéj patrzały wtedy te piękne oczy, które dzisiaj szkliły się spokojnie jak blask emaliowanéj porcelany!

Czyż to wszystko miał by być tylko kaprys rozgorączkowanéj fantazji?

Patrzałem daléj.

Koło Albiny siedziała Kamilla. Nie wiem jaki właściwie węzeł przyjaźni łączył te dwie kobiety, ale sądząc z pozoru, były to kontrasty ostateczne.

Kamilla miały twarz oliwkowego koloru. Głęboko osadzone czarne oczy patrzały wkoło z wyrazem niepokoju i gorączki. Jéj pięknie wykrajane, dobrze wydatne usta wyrażały często jakieś wewnętrzne niezadowolenie. W uśmiechu było coś cierpkiego, coś ironicznego, jakby tam gdzieś w głębi duszy była jakaś rana lub przynajmniéj blizna nie dobrze zgojona.

Kobieta ta nie ukrywała się z tem bynajmniéj, że rzeczywistość tego życia nie odpowiedziała zupełnie jéj marzeniom płomiennym, że zrobiwszy kompromis ze światem nie wiele wygrała ale za to wiele przegrała.

(d. c. n.)

BOHATYR PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Droga ta, jakkolwiek krótsza, mogła być w potrzebie odpowiednią dla mężczyzny, ale nie była ona taką dla kobiety: Prowadziła bowiem przez bagna, łąki i błotniste kałuże, zawsze śród pól i krzaków, które ogromną krzywdę wyrządzały wykwintnéj żałobnéj toalecie Jenny, przygotowanéj wprawdzie do podróży, ale do podróży w najwygodniéjszéj karecie pocztowéj. Ani lekki wierzchni płaszczyk nie osłaniał dostatecznie jéj ciało, ani zgrabne cieniuchne buciki nie ochraniały jéj nóżek. Całe jéj ubranie było przemokłe, gdy tymczasem towarzysz jéj grubym wełnianym pledem otulony, nie zdawał się wcale uczuwać niepogody i naturalnie nie pomyślał nawet o ofiarowaniu jéj swojego okrycia. Obok tego jeszcze, pomny zalecenia Atkinsa, ażeby się starał jak najspieszniéj przybyć do miasta, spełniał je w całem literalnem znaczeniu i pędził takim krokiem, że Jenny tylko z największem wysileniem podołać mu mogła. Każda inna byłaby niezawodnie zwróciła jego uwagę, że taka droga i taki pośpiech przechodzą jéj siły. Lecz Miss Forest postanowiła bądź co bądź dostać się jak najprędzéj do miasta, celem wysłania pomocy dla pozostałych na drodze towarzyszy; a zresztą wszelkie skargi, narzekania i zwłoki, to były rzeczy, których ona nienawidziła. Wydobywała więc śmiało swoje lekkie trzewiczki z błota i bagnisk, które je koniecznie przytrzymywać chciały, stawiała nogi energicznie w wysokiéj, deszczem nasiąkłéj trawie i niecierpliwie odrywała od kolczastych krzaków swoje odzienie, z którego nie jeden płatek na nich pozostał: a przy tem wszystkiem wyraz jéj twarzy stawał się coraz więcéj ponurym, coraz groźniejszym. Nareszcie, po kwadransie takiéj męczącéj drogi, zatrzymała się nagle, mówiąc:

— Przymuszoną jestem prosić pana, ażebyś poczekał na mnie. Potrzebuję chwilkę wypocząć.

Te surowym, opryskliwym niemal głosem wymówione słowa, oprzytomniły tak mało okazującego dla niéj względności towarzysza. Zatrzymał się w miejscu i z prawdziwą trwogą spojrzał na młodą damę, która znużona i bez tchu prawie, stanęła pod znajdującym się tuż obok niéj krzakiem bzowym.

— Przebacz pani! Ja zupełnie zapomniałem, ja.. i słów mu zabrakło. Dopiero po chwili namysłu, dodał: ja rzeczywiście nie jestem przyzwyczajony z damami przestawać.

Jenny skinęła ręką, jak gdyby chciała powiedzieć: Przekonałam się już o tem!

Zdawało się, że jéj towarzysz dopiero teraz spostrzegł nieszczęśliwy stan jéj toalety. Ależ mój Boże pani jesteś zupełnie przemoczona! zawołał troskliwie, potem spojrzał w górę i widocznie już zmięszany, dodał. Zdaje mi się, że deszcz pada?

— I mnie się zdaje! odpowiedziała Jenny z szyderstwem, które na szczęście uszło baczności nieznajomego, w téj chwili szukającego czegoś około siebie. Stali teraz oboje na nieznacznéj wyniosłéj ziemi pod krzakiem, który przecież po kilkogodzinnym deszczu, nie bardzo wygodnem był dla nich schronieniem, chociaż przewodnik panny Forest, zdawał się bardzo odpowiedni znajdować pod nim przytułek. Po chwili gwałtownem poruszeniem zerwał pled ze swoich ramion, rozłożył go starannie na przesiąkłéj wodą ziemi, i nie słowami, ale ręką tylko zaprosił swoją towarzyszkę, ażeby na nim spocząć zechciała.

Jenny nie ruszyła się nawet i spojrzała na niego ciekawie. Przechodziło to jéj pojęcie: człowiek ten przez pół godziny przypatrywał się najobojetniéj w świecie jak ona mokła, a teraz, ten szal, który w ciągu tego całego czasu, mogł ją był od przemoczenia ochronić, rzucił bez namysłu w błoto, ażeby jéj na jakie dwie minuty potrzebną zapewnić wygodę. Coś równie śmiesznego, równie niepraktycznego nie przytrafiło jéj się jeszcze nigdy, a mimo to wszystko, w owym postępku nieznajomego, było tyle delikatnéj troskliwości, tyle lękliwego przeproszenia za dotychczasową jego nieoględność, że Jenny prawie mimowolnie, bo z pewnem wahaniem usiadła na tem zaimporowizowanem posłaniu.

Po raz pierwszy spojrzała teraz z całą uwagą na swego towarzysza tuż przy niéj stojącego. I on, spiesznym pochodem rozgrzany, zdjął kapelusz i jasne swoje, deszczem zmoczone włosy odgarniał z wysokiego czoła. Były piękne, szlachetne, w najwyższym stopniu oduchowione rysy, na których przecież jakaś przezroczysta, chorobliwa bladość zalegała, a obok tego owe wielkie, niebieskie oczy z dziwnym wyrazem marzycielstwa, które tak zupełnie wyglądały, jak gdyby nigdy ani ze światem, ani z teraźniejszością nic nie miały do czynienia, jak gdyby sięgając za to wszystko co je otaczało, wpatrywały się gdzieś daleko w nieskończone przestrzenie. I długo tak młoda dama o zimnem lecz pięknem obliczu, o energicznem spojrzeniu przypatrywała się z dziwnem, jéj saméj niepojętem zajęciem, tym tak niezmiernie od jéj własnych różniącym się rysom.

Dokoła snuła się gęsta mgła, otaczając swoją szarą osłoną drzewa i krzewy, które niewyraźnie. jakby nieruchome cienie z poza jéj tumanów wyglądały. Deszcz rosił nieustannie, pierwszy ciepły deszcz wiosenny, któremu spragniona ziemia wonne wydając tchnienie, chciwie łono swoje otwierała: w powietrzu odzywały się jakieś dziwne głosy, jakiś szmer i szepty właściwe tylko okolicy przez deszcz nawiedzanéj: przez grube warstwy mgły dochodził zdaleka, niby tajemniczy plusk i szum zawsze jeszcze nie widzialnéj rzeki, jednem słowem, całe to położenie miało w sobie coś nieznanego coś zasmucającego i Jenny, któréj podobne uczucie obcem jeszcze było, chciała się jak najprędzéj otrząsnąć z niego.

— Czy to jest rzeka, tam w dole? zapytała wskazując przez mgłę trochę na prawo.

— To Ren! Jesteśmy nad jego brzegiem.

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Miss Forest, urwała niecierpliwie małą gałązkę bzu pod którym teraz siedziała, i z roztargnieniem przypatrywała się nabrzmiałym pączkom, z których pierwsze zielone listki wydobywać się zaczynały, lecz wkrótce rzuciła ją niedbale na ziemię. Jéj towarzysz schylił się po nią i podniósł; zdziwiona spojrzała na niego.

— Są to pierwsze pączki wiosenne, rzekł głosem cichym, nie chciałbym, ażeby tu w tem błocie zgnęły.

Usta Jenny drgnęły szydersko. Jaki sentymentalny! Ale prawda, wszakże ja w Niemczech jestem! Pomyślała urażona i prawie rozdrażniona tym delikatnym wyrzutem, podniosła się szybko oświadczając, że już zupełnie wypoczęła.

Towarzysz jéj był także gotów do dalszéj drogi. Jenny spojrzała z boku na pled, który ciągle jeszcze na ziemi leżał; lecz, ponieważ jéj przewodnik zdawał się zupełnie o nim zapominać, przeto uznała że nie warto było przypomnieć mu o nim. Ruszyli tedy naprzód milcząc jak i pierwéj, z tą tylko różnicą, że jéj towarzysz zwolnił teraz kroku i że często się oglądał czy mogła za nim podążać. Upłynął jeszcze kwadrans czasu, aż nareszcie z pośród mgły wynurzyły się ciemne zarysy domów i wież kościelnych. W tedy nieznajomy obrócił się do swéj towarzyszki, mówiąc:

— Jesteśmy w B. Czy mogę zapytać gdzie panią mam zaprowadzić?

— Do domu doktora Stefana.

Zatrzymał się zdziwiouy i powtórzył: Do domu doktora Stefana?"

— Tak czy pan go znasz?

— Doskonale. Mieszkam w jego domu, i rzeczywiście, dodał pocierając ręką białe czoło swoje, przypominam sobie, że tam kogoś oczekują, podobno spodziewają się przybycia jakiejś młodéj Amerykanki, jeżeli się nie mylę.

— Wiem że na mnie czekają, przerwała Jenny niecierpliwie, i zobowiążesz mnie pan bardzo, jeżeli to oczekiwanie moich krewnych skrócić zechcesz.

— Jestem na rozkazy. Ale proszę zwrócić się na prawo, poprowadzę panią najbliższą drogą, przez ogród!

Jenny poszła we wskazanym kierunku, lecz wkrótce znalazła sposobność złorzeczenia téj najbliższéj drodze swego towarzysza, gdyż wązka ścieżka pomiędzy ogrodami którą on ją teraz prowadził, zasłoną była większemi jeszcze trudnościami i przeszkodami niż wszystkie poprzednie. Zdawało się, że on sam to uczuł albowiem zatrzymał się nagle i rzekł niespokojnie:

— Zapomniałem; że to nie dla dam jest droga. Może się wrócimy?

— Sądzę, żeśmy już przynajmniéj połowę drogi przebyli, odparła Jenny głosem nieco zagniewanym. „Cel do którego dążamy, nie powinien być bardzo odległy".

— Rzeczywiście tam oto, za temi sztachetami.

— A więc idźmy.

I posunęli się jeszcze o jakie sto kroków, po czem nowa prawie nieprzebyta zjawiła się przeszkoda. Cała niżéj położona część drogi, została przez deszcz zalana i tworzyła na całéj szerokości formalne jezioro, które ominąć było zupełnem niepodobieństwem. Nieszczęśliwy przewodnik stanął; nie wiedząc już co daléj począć.

— Tędy pani przejść nie możesz! Rzekł nareszcie z obawą.

— Sprobuję! odpowiedziała Jenny śmiało i postawiła koniec drobnéj nóżki w wodzie. Ale on wstrzymał ją skwapliwie.

— Niepodobna! Tu woda ma najmniéj pół łokcia głębokości! Gdyby tylko.... gdyby mi pani pozwoliła przenieść się....

Zapytanie uczynione było z wielką obawą i Jenny zmierzyła na pół litościwym, na pół pogardliwym wzrokiem tę wysoką wprawdzie, lecz wątłą, delikatną i pochyloną postać swego przewodnika.

— Dziękuję! odpowiedziała z nietajonem wcale szyderstwem. Siły pana mogłyby nie podołać takiemu ciężarowi.

Szyderstwo to szczególny jakiś wpływ wywarło na tak lękliwego dotąd nieznajomego. Żywy, szkarłatny rumieniec oblał nagle jego blade oblicze, w jednem oka mgnieniu wyprostował się, pochwycił dziewicę ostrożnie w silne ramiona, uniósł ją i pewnym śmiałym krokiem postąpił w wodę! Wszystko to stało się tak szybko; że Jenny zdumiona i zmięszana nie miała czasu żadnego stawić oporu. Ujrzawszy się atoli w jego objęciach, zrobiła nagłe poruszenie z zamiarem zsunięcia się raczéj w najgłębszą wodę, aniżeli przyzwolenia na poufałość, jakiéj się względem niéj mimo jéj woli dopuszczono. Ale w owem

poruszeniu spotkała się jednocześnie z jego wzrokiem pałającym, w wielkich, niebieskich iskrzących się oczach. Nie wiemy, czy niema, prawie błagalna prośba, czy też coś innego dziwnego w tym wzroku świeciło, dosyć że Jenny powolnie spuściła oczy, jakieś trwożliwe uczucie ścisnęło jéj serce i spokojnie, jak zestaszone dziecię pozostała w objęciach dwóch ramion, które z siłą, jakiéjby w nich nikt przypuścić nawet nie mógł, przeniosły ją na drugą stronę wody.

— Proszę mi przebaczyć rzekł z cicha składając swój ciężar ostrożnie i z poszanowaniem, przed furtką wiodącą do domu doktora.

— Dziękuję! odpowiedziała Jenny krótko i sucho, poczem sama otworzyła drzwiczki i weszła do ogrodu.

Zaledwie kilkanaście kroków uszli, gdy jakaś wielka, niemal olbrzymia postać drogę im zastąpiła.

— Panie professorze, na Boga żywego pan na prawdę w taki czas wyszedłeś! I to jeszcze bez parasola! Toć pan dostaniesz kataru, febry, umrzesz pan.. A pled, panie professorze, gdzież się pled pański podział?

Z niechęcią, prawie z gniewem odsuwał professor od siebie tego troskliwego o jego zdrowie człowieka, który wielkiem uzbrojony parasolem w sposób nieco natrętny osłonić go usiłował.

— Ależ Fryderyku! Czyliż ty nic nie widzisz? I wskazał na młodą damę, któréj tamten w zbytnej gorliwości swojéj jeszcze nie spostrzegł. Atoli ten nowy fakt to zjawienie się młodéj kobiety przy boku jego pana przechodziło już pojęcie Fryderyka, opuścił parasol i z otwartą gębą przypatrywał się obojgu z takiem zdumieniem że widoczną było rzeczą, iż coś podobnego nigdy mu się jeszcze nie przytrafiło.

Profesor położył wkrótce koniec temu zdumieniu swego sługi, mówiąc do niego. Jest to taż sama młoda dama, na którą u doktora Stefana oczekują. Idź i powiedz o tem doktorowi ...

Nie mógł już dać obszerniejszego zlecenia, gdyż Fryderyk, zaledwie pierwsze posłyszawszy wyrazy, krzyknął, jakimś dziwnym niedającym się określić głosem, potem zawrócił się nagle i w sążnistych poskokach pobiegł spełnić rozkaz swego pana. Jenny zatrzymała się i ostatni raz spojrzała jeszcze na swego towarzysza. Wyraz jéj twarzy wskazywał wyraźnie, co ona o swoich niemieckich współrodakach myśleć zaczęła, i że po spotkaniu się z dwoma pierwszymi ich egzemplarzami, pozwalała już sobie wątpić nieco o ich wyższych przymiotach. Pan i sługa byli w jéj oczach zarówno śmiesznymi.

Tymczasem alarmowy wykrzyk Fryderyka sprawił nadzwyczajne zamieszanie w domu doktora. Słychać było gwałtowne otwieranie i zamykanie drzwi, trzeszczenie schodów pod lżejszemi lub cięższemi krokami, słowem, zdawało się że wszyscy mieszkańcy w gorączkowym pośpiechu, chcieli albo zaimprowizować nowe objawy uroczystego przyjęcia oczekiwanego gościa, albo też już przygotowane, do pewnego przyprowadzić ładu. Gdy nareszcie Jenny zbliżyła się w towarzystwie profesora do głównego wejścia, czekała ją tutaj prawdziwa niespodzianka. Drzwi i filary obwieszone były kwiecistemi wieńcami, i nad pierwszemi z nich jaśniał ogromny płomienny napis. „Witaj nam". Sień i wschody były zasłane kwiatami, a u stóp tych ostatnich stał Fryderyk trzymając w ręku ogromny bukiet, który z dumnym uśmiechem kraszącym jego szerokie lica, dosyć niezgrabnie pod sam nos młodéj damy podsuwał.

Jednakże takie przyjęcie nie przypadało wcale do smaku panny Forest. W Ameryce unikano tego rodzaju zbytecznych czułostek i służbę trzymano zawsze w przyzwoitych granicach. Jenny zmarszczyła brwi, zmierzyła niezadowolonym wzrokiem od stóp do głów wysuwającego się ku niéj sługę, i gdy ten zbity z toru tak niełaskawem spojrzeniem na bok się usunął, ona odpłaciwszy mu za jego dobre chęci tylko dumnem, pańskiem skinieniem ręki, w którem bardzo mało podzięki, a zbyt wiele skarcenia przebijało, przesunęła się szybko koło niego, przebiegła wschody i nie zaszczyciwszy jednem nawet spojrzeniem przygotowanych na jéj część uroczystych zachodów, weszła do sieni gdzie doktór Stefan i jego żona właśnie co przybyli.

Profesor stał ciągle jak zaklęty na dole, spoglądając za nią przez drzwi, które przez kilka minut pozostały jeszcze otworem. Widział on, jak młoda dama nawet w chwili tak naturalnego pierwszego wzruszenia w obec krewnych swoich, do których niespodziewanie, przemokła, przez furtkę ogrodową w towarzystwie obcego sobie człowieka przybywała, ani na jedną sekundę się nie rozrzewniła: widział, jak zbliżywszy się do wuja z zimną grzecznością podała mu tylko rękę, jak zupełnie z takimże samym wyrazem nadstawiła lica swoje do pocałunku ciotki, a po tem pierwszem przywitaniu wyprostowała się i stanęła przed obojgiem tak śmiało, tak dumnie i z taką pewnością siebie saméj, jak gdyby od tego pierwszego wstąpienia w ich progi, chciała już protestować przeciw wszelkiéj chęci podciągnienia jéj pod jakąś kontrolę. lub opiekę.

Nareszcie zamknięto drzwi i professor jakby ze snu zbudzony, zerwał się i obejrzał za Fryderykiem. Biedny chłopak stał jeszcze na temże samem miejscu przy wschodach; kwiaty wypadły z rąk jego i niemy patrzał za tem pięknem dumnem zjawiskiem, które go w sposób tak przykry dla niego otrąciło. Profesor dotknąwszy jego ramieniu, rzekł:

— Pójdź ze mną na górę, Fryderyku.

Na te słowa ożywiły się nieco jego rysy, wyrażające głębokie upokorzenie; odgarnął z czoła włosy i swemi jasnoniebieskiemi oczyma, w których parę gorzkich łez świeciło, spojrzał boleśnie na swego pana.

— Ale, cóż ja to właściwie zrobiłem? zapytał głosem płaczliwym.

— Daj sobie pokój, Fryderyku, rzekł smutnie. Ta młoda kobieta nie jest pewnie przyzwyczajona do niemieckiego sposobu przyjmowania upragnionych gości.

Pójdź już, pójdź.

Fryderyk był posłusznym; a jednakże schylił się pierwéj i podjął swój bukiet. Zdawało się że widok jego w miejsce upokorzenia, gniew w nim wywołał, gdyż zmiąwszy kwiaty w ręku, z największą wściekłością rzucił je w głąb ogrodu.

— Fryderyku! Głos i surowy nacisk jakim profesor jego imię wymówił, przywiodły go do upamiętania.

— Idę już, panie, odpowiedział pokornie i ocierając ręką zwilżone oczy, powolnym krokiem i z głową smutnie zwieszoną poszedł ze swoim panem.

Przeszło już sześć tygodni upłynęło od przybycia młodéj Amerykanki, a mimo to zawsze jeszcze była ona obcą w domu swoich krewnych. Nie ich to przecież było winą, gdyż od najpierwszéj chwili starali się być dla niéj jak najserdeczniejszemi. Doktór Stefan i jego żona należeli do liczby tych dobrych i poczciwych ludzi, których jedyną dążnością jest żyć z całym światem w zgodzie, i nie dać się przez nic i przez nikogo ze zwykłéj, wygodnéj wyprowadzić równowagi. To też zmarły Forest ocenił bardzo trafnie swojego szwagra utrzymując, że kiedy mu ofiarował jak na ówczesne swoje położenie dosyć znaczną sumę na podróż do Ameryki, uczynił to w części z dobrego serca, w większéj zaś części w zamiarze pozbycia się niebezpiecznego demagoga, który całą tak prawą i spokojną rodzinę na podejrzenie i niebezpieczeństwo mógł narazić. Rzeczywiście, doktór szczerze żałował swéj siostry, że ona los swój związała z losem tego nieszczęsnego człowieka który w swéj dumie i uporze wolał sam z rodziną największą znosić nędzę, niżeli od krewnych swoich najmniejsze przyjąć wsparcie. Dla tego też był on zupełnie przekonanym, że ta ekscentryczna głowa w trzeźwéj zawsze i praktycznéj Ameryce koniecznie przepaść musi. Tymczasem inaczéj się stało, pomyślny rezultat, jak wszędzie tak i tutaj spełnił swoją powinność. Jeżeli niegdyś Stefan i jego żona troskliwie unikali samego wspomnienia imienia, Förstera, jako swego krewnego, za to teraz jawnie i chętnie mówili o swoim szwagrze owym zamorskim milionerze, i zapowiedziane odwiedziny jego córki w niemały wprawiły ich kłopot. Gdyby ich osierocona kuzynka nawet ubogą przybyła, znalazłaby u nich niezawodnie otwarte ręce i serca, miljonową zaś spadkobierczynię przyjęli z najgłębszem uszanowaniem i czcią, czego też ona właśnie najbardziéj pragnęła. Dla tego więc zaraz od samego początku, zapobiegając wszelkiéj chęci przywłaszczenia przez jéj krewnych jakiejkolwiek władzy nad nią, wystąpiła przeciwko nim tak stanowczo i samoistnie że przekonali się odrazu, jak trudnem, niemożebnem byłoby pozyskanie jakiego bądź nad nią wpływu. Ze względu na jéj majątek, byliby jéj chętnie wszelkie przebaczyli kaprysy, a nawet i wady, ale czego jéj przebaczyć nie mogli, to owego ciągłego chłodu i zamknięcia saméj w sobie, przez które nigdy ani jeden promyk serdecznego ciepła się nie przycisnął, i z powodu których wszelkie poufne między niemi zbliżenie stawało się niepodobnem. Wprawdzie Jenny nigdy ani jednem spojrzeniem, ani jednem słowem nie okazała najmniejszego niezadowolenia z domu w którym gościła, ale ta litościwa pogarda, z jaką wychowanka amerykańskich bogactw i zbytku stosowała się do skromnego mieszczańskiego sposobu życia swych krewnych, raniła ich i bolała, słowem od pierwszéj chwili przybycia panny Forest, doktór Stefan i jego żona, powzięli to nie zbite przekonanie, że ich synowica była najdumniejszą i najzimniejszą w świecie istotą.

Jednakże byli oni pod pewnym względem niesprawiedliwymi względem Jenny, gdyż duma jéj nie opierała się bynajmniéj na bogactwie, lecz jedynie na téj duchowéj wyższości z jaką się zapatrywała na wszystko, co tylko w granice jéj widnokręgu wchodziło, a którą wkrótce i do rozleglejszych sfer otaczającego ją świata stosować zaczęła. Wzrosła pośród nieograniczonych swobód amerykańskiego życia, i oswojona z niemi przez ojca więcéj niż każda inna kobieta, przywykła do niczem nieskrępowanego łączenia i jednoczenia się wszystkich stanów, do najwolniejszych form towarzyskich, uważała pełne uszanowania względy, jakie tutaj dostojniejszym osobistościom okazywano, za objawy niewolnicze, oddzielanie się pojedynczych kółek towarzyskich za śmieszne, a niezbędne przy tem wszystkiem tytuły i ceremonje, wywoływały już głośne jéj sarkanie i szyderstwo. Nieraz jéj krewni śmiertelną byli zdjęci trwogą, kiedy z takim swoim sposobem widzenia rzeczy, w przytomności ludzi obcych występowała; wszakże pod tym względem mogli oni być zupełnie spokojni. Miss Forest była Amerykanką, a przedewszystkiem, jak wiadomo, miljonerką, dwa ważne przymioty, upoważniające ją do wszystkiego, czegoby sobie żadna inna kobieta pozwolić nie śmiała, tem więcéj, że jéj zaręczyny były jeszcze tajemnicą. Nie było prawie znaczniejszego domu w mieście, gdzieby nie rojono dla jakiego bliższego lub dalszego krewnego nadziei zdobycia z jéj piękną rączką bogatego wiana. To też Jenny od pierwszego swego wystąpienia, widziała się otoczona rojem wielbicieli, widziała się czczoną jak bóstwo jakie, co zresztą nie było żadną

dla niéj nowością. Co tylko żyło, zachwycało się jéj pięknością, która się jednak dziwnie odbijała od wesołéj kwitnącéj świeżości młodych nadreńskich mieszkanek, i schlebiało jéj obrażającéj dumie. Podziwiano jéj rozum, z którym się jednak popisywać częstokroć nie widziała potrzeby, a młodzież uniwersytecka, tym nowym na jéj horyzoncie meteorem olśniona, starała się wszelkiemi sposobami zbliżyć do niéj i najwyższą cześć swą okazywać. Lecz wszystkie te usiłowania nie zdołały ani na jedną chwilę przełamać lodowatéj obojętności i powagi, jakiemi się ta młoda piękność wierna radom i tradycjom swego ojca, na ziemi niemieckiéj niby żelaznym pancerzem uzbroiła.

Doktór Stefan posiadał ładny domek w najpiękniejszéj części miasta B. którego parter sam zamieszkiwał, a wyższe piętro od trzech lat professorowi Fernow wynajął. Ważne dzieło naukowe, epokę w całym uczonym świecie stanowiące, zjednało bardzo jeszcze młodemu człowiekowi katedrę professorską w B. Zupełnie obcy, bez żadnych poleceń i znajomości, przybył on tu w towarzystwie jednego tylko sługi i pierwszemi zaraz odczytami swemi nie tylko wyrobił sobie najzupełniejsze uznanie kolegów, ale także podbił chciwe nauki umysły słuchającéj jego wykładu młodzieży. I to już było całe jego powodzenie, gdyż nie był człowiekiem, któryby umiał z tego powodzenia korzystać i stawić się na jakimś wyższym piedestale. Wszelkich stosunków z otaczającym go światem z wyjątkiem stosunków służbowych, unikał z jakąś dziwną lękliwością; nie oddawał i nie przyjmował żadnych wizyt, stronił od wszelkich znajomości po za obrębem jego professorskich obowiązków leżących, odmawiał wszelkich zaprosin, oddając się jedynie i wyłącznie ciężkiéj samotnéj pracy naukowéj. Wątły stan zdrowia usprawiedliwiał najzupełniéj takie postępowanie młodego profesora. Z początku nie uznawano tego wprawdzie w mieście B. przypuszczając najrozmaitsze tajemnicze powody takiego wyrzeczenia się świata i wszelkich z nim stosunków, ale trwało to dopóty tylko, dopóki się nie przekonano, że ten najzacniejszy, najpoczciwszy w świecie człowiek, dla nauki wyłącznie żyjąc, nie dla czego innego, jak tylko dla zachwianego zdrowia swojego na takie samotne skazywał się życie. Koledzy jego, których stosunki urzędowe do niego zbliżały, wyrażali się zawsze ze szczerym podziwem o jego zdumiewającéj, głębokiéj nauce i niesłychanéj skromności, unikającéj wszelkiego pokazu, ale ciż sami koledzy cieszyli się serdecznie w głębi duszy z téj potulnéj jego skromności, wiedząc dobrze, że człowiek takim, jak on niewyczerpanym skarbem nauki opatrzony, mógłby się dla nich w bardzo niebezpiecznego zamienić współzawodnika, gdyby tylko natura większą osobistą dumą i większą energją serce i duszę jego była opatrzyła. Odczepiono się więc od niego. W prawdzie głęboka nauka Fernowa wywoływała zawsze jakieś zazdrosne uwielbienia, prelekcje jego były zawsze tłumem słuchaczów nabite, jednakże, ten młody, chorowity professor uniwersytetu w B., wyłączający się z wszelkiego towarzystwa, prowadził życie prawdziwego pustelnika.

Nawet doktór Stefan nie miał najmniejszego powodu uskarżania się na swego lokatora, który nigdy nie sprowadzając najmniejszego hałasu do domu, płacił jak najregularniéj należne komorne, a pokazawszy się od czasu do czasu gospodarzowi, pozdrawiał go zawsze bardzo grzecznie, unikając przecież wszelkiéj dalszéj rozmowy. Doktór był prawie jedynym człowiekiem który przy bardzo częstych słabościach profesora, przestępując jego progi, w bliższych zostawał z nim stosunkach. Ale za to, pani doktorowa, która tak chorowitym człowiekiem z macierzyńską gotowa była zająć się troskliwością, nie umiała sobie z nim dać rady, i nie mogąc pana, przynajmniéj jego służącego pod swoje podciągnęła sztandary.

Fryderyk sługa Fernowa nie odznaczał się ani wyższą intelligencją, ani bystrością pojęcia, umysłowe zdolności jego były niezmiernie ograniczone, za co natura obdarzyła go ciałem olbrzymiem i wszystkie nie lostatki duchowe, zastąpiła niewyczerpaną poczciwością serca i prawdziwie rozrzewniającem przywiązaniem do swego pana. Wszakże Feyderyk zupełnie odmiennie od niego, miał wyraźną skłonność do ciągłego przestawania z ludźmi i zawsze był gotów wszystek czas wolny od obowiązków służbowych, a miał go bardzo dużo, poświęcać na rozmaite drobne usługi, do których go doktorowa w domu a doktór w ogrodzie bardzo chętnie używali. Tym sposobem stał się dla obojga pewnym rodzajem factotum, bez którego w niczem obejść się nie mogli, i on to właśnie z wysileniem wszystkich zdolności swoich i poświęceniem długiéj pracy, urządził owo uroczyste a niefortunne powitanie młodéj Amerykanki, któréj od téj bolesnéj dla niego sceny zawsze teraz z pewną obawą i gniewem unikał.

Miesiąc czerwiec kończył się dniem niezmiernie gorącym. W mieszkaniu professora Fernowa było cicho jak w kościele, najmniejszy ruch najmniejszy szelest nie przerywał spokoju jaki tu panował. Wszystkie pokoje były do siebie podobne, bo zastawione mnóstwem szaf na których półkach niezliczone szeregi książek spoczywały. Przez zapuszczone story tylko wątpliwe światło przedzierało się do tego przybytku pracy i nauki, gdzie oprócz przez długie wieki nagromadzonéj wiedzy ducha ludzkiego, nawet najlżejsze tchnienie świeżego powietrza przedrzeć się nie mogło. W gabinecie swoim, który od innych pokoi chyba tylko większą massą książek się odróżniał, siedział profesor przed biórkiem lecz nie pracował, papier i pióro leżały bezczynnie. Z głową opartą o tylną poręcz fotelu i z rękoma na krzyż założonemi, wpatrywał się nieruchomie w sufit. Być może, że to i tutaj ta zielona zapuszczona firanka nadawała rysom jego jakiś blady i chorobliwy wyraz, lecz i w całéj osobie jego przebijało się nadzwyczajne znużenie, dziwne jakiś upadek sił fizycznych, gdyż nawet oczy nie zdradzały żadnego śladu wytężonéj myśli pracującéj może nad rozwiązaniem jakiego naukowego zadania. Przeciwnie w oczach profesora widać tylko było pewne smutne mi dające się określić rozmarzenie, tak często właściwe poecie, a tak rzadko nawiedzające uczonego.

Otworzono drzwi gabinetu, a jakkolwiek otworzono je bardzo cicho, jednakże profesor wzdrygnął się nagle, jak każda osoba w wysokim stopniu nerwowa. Na progu stanął doktór Stefan, a za nim wyglądało zalęknione oblicze Fryderyka.

— Dobry wieczór, rzekł doktór zbliżając się do swego lokatora. Otóż jestem znowu, by przemówić do sumienia pana. Jakoś nie dobrze z nami dzisiaj, czy prawda?

Profesor spojrzał z zadziwieniem na gościa. „Bynajmiéj, kochany doktorze! Jestem zdrów zupełnie. Musi to być jakieś nieporozumienie, bo nie miałem wcale zamiaru prosić pana do siebie".

— Wiem o tem, odpowiedział doktór spokojnie. Pan nigdybyś mnie nie wezwał, wyjąwszy chyba, gdybyś już na śmiertelnéj legł pościeli, ale Fryderyk właśnie utrzymuje, że zdrowie pana jest bardzo zagrożone.

— Tegom właściwie nie mówił, wtrącił Fryderyk, który zatwożony niechętnem spojrzeniem swego pana, schronił się za plecy doktora, pod którego opieką czuł się nieco śmielszym. Ale zawsze nie dobrze jest, i to nie oddawna. Pamiętam ja dobrze ten dzień, kiedy pan profesor wyszedł podczas deszczu bez parasola, i powrócił bez pledu razem z tą amerykańską damą.

— Milcz, Fryderyku! zawołał profesor z takim gniewem, że przerażony sługa aż na bok odskoczył. Dalekobyś lepiéj zrobił, gdybyś się zajmował tem co do ciebie należy, a nie mięszał się do rzeczy, których nie pojmujesz. Idź i zostaw nas samych.

— Zgromiony i zaniepokojony tą niezwykłą surowością swego zawsze tak łagodnego i dobrego pana; Fryderyk wyniósł się dosyć niechętnie; doktór atoli, nie zważając wcale na groźne spojrzenie profesora, które wyraźnie i jego do naśladowania przykładu Fryderyka wyzywało, przysunął sobie krzesło i usiadł najspokojniéj w świecie.

— Pan znowu pracowałeś? Naturalnie! W taki śliczny dzień letni, kiedy każdy spieszy na świeże powietrze, pan siedzisz od rana do wieczora, czyli raczéj do późnéj nocy przy biórku. Powiedz że mi pan na miłość boską, czy mylisz, że to tak długo trwać może, i że pan to wytrzymasz?

Profesor z widoczną niechęcią zajął poprzednie swoje miejsce i nie uspokojwszy się jeszcze po pierwszem rozdrażnieniu, rzekł niechętnie.

— Musiałem się zaziębić.

— Co tam zaziębić! wtrącił doktór skwapliwie. Wcale tutaj nie o to chodzi, ale o tę szaloną pracę, która się u pana w prawdziwą manję zamieniła i która cię niezawodnie do grobu zaprowadzi, jeżeli się oszczędzać nie będziesz. Ale co tu począć z pacjentem który zawsze jest potulny, zawsze zgadza się na wszystko, a potem robi zupełnie co innego, nie to, co mu zalecono!

Profesor słuchał teraz z największą cierpliwością.

— Wszakże ja zawsze spełniałem polecenia pańskie! rzekł nareszcie głosem cichym.

— O tak! literalnie! Jeżeli naprzykład wyprawię pana do łóżka, to kładziesz się posłusznie, każesz przynieść lampę, cały stos książek i dla odmiany, czytasz sobie do drugiéj albo czasem do czwartéj godziny po północy. Już to szczęśliwą masz pan naturę, że tak możesz postępować; dotąd tylko nerwy zrujnowałeś zupełnie; ale pociągnij tak jeszcze rok jeden a dostaniesz suchot niezawodnie, na to daję panu moje słowo honoru!

Profesor oparł głowę na ręku i spokojnie patrza przed siebie.

— Tem lepiéj! rzekł obojętnie.

Zniecierpliwiony doktór zerwał się z krzesła i odtrącił je od siebie. Otóż mamy! Teraz jeszcze pragnienie śmierci! Niech was tam z waszą nauką, w któréj nie ma nic rozsądnego, suchoty ducha i ciała! To tylko jedno co się z niéj wyląda może!

Fernow podniósł się także i uśmiechnął smutnie. Zaniechaj mnie, kochany doktorze! Ja twoją pracę tylko niewdzięcznością odpłacam. Zdrowie moje zupełnie jest podkopane ja to sam czuję najlepiéj, a pan dobremi chęciami i wszystkiemi lekarstwami swojemi, poradzić mi już nie możesz.

— Lekarstwami,—nic, odparł doktór poważnie. Panu tylko radykalna kuracja pomódz może; lecz obawiam się, że doradzać ją panu, na nicby się nie zdało.

(d. c. n.)

WIELOŚĆ

ŚWIATÓW ZAMIESZKIWANYCH.

STUDJUM

W KTÓRÉM ROZTRZĄSAJĄ SIĘ WARUNKI

ZAMIESZKALNOŚCI ZIEM

NIEBIESKICH

ZE STANOWISKA ASTRONOMII, FIZJOLOGII

I FILOZOFII NATURALNÉJ

PRZEZ

Kamilla Flammariona.

DZIEŁO

PRZEJRZANE PRZEZ Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Cała ta pierwsza księga dzieła, Flammariona, czytelnikowi niezbyt zaprawionemu do pracy umysłowéj, musi koniecznie wydać się przeciążoną nazwiskami autorów i tytułami ksiąg, które pisane z kolei przez długi przeciąg wieków, stanowią szereg obrońców wiary zamieszkalności ciał niebieskich. Jakkolwiek pełen powagi jest ten zastęp myślicieli i wieszczów, to przecie ani ich świetne imiona, ani mnogie cytaty z dzieł ich wyjęte, nie wlewają w umysł przekonania, aby to o czem głosili było bezwzględną prawdą. Bo któż z mniéj więcéj oświeconych ludzi nie wie o tem, że nie jedna doktryna przez wiele pokoleń, z postępem czasu pojęć i nauki chwieje się i albo całkiem upada, albo modyfikuje się i znacznym ulega zmianom? To też *historyczne badania* najmniejszą w całem dziele posiadają wagę i siłę przekonywającą, a sam Autor musiał uważać je tylko za wstęp konieczny i usprawiedliwiający śmiałość jego następnych twierdzeń, gdy tę pierwszą swą księgę kończy słowami: Teraz będziemy mogli wprost przystąpić do jednéj z najciekawszych i zarazem najważniejszych kwestji z całéj filozofji. Będziemy mogli ją zbadać z każdéj strony, aby nie sprowadzić jéj do rzędu prawdopodobieństw, które nic stałego nie mają, lecz przeciwnie nabyć o niéj głębokiego przekonania; będziemy mogli wyłożyć powody co ją wyjaśniają, opierając nasze dowodzenia jedynie na niewątpliwych *danych naukowych*".

Otóż z tych *danych naukowych* składają się trzy następne najpiękniejsze a zarazem najważniejsze księgi dzieła,—z których pierwsza nosi tytuł: *Światy planetowe* a ma za zadanie dowieść, iż ziemia ani położeniem swem w systemie planet do którego należy, ani rozmiarami swemi nie posiada wyłącznego przywileju tworzenia, rozradzania i hodowania istot ożywionych.

A naprzód i przedewszystkiem należy dowiedzieć się, czem jest ten system słoneczny, jeden z niezliczonych w przestworzu umieszczonych systematów, do którego ziemia należy? Jakie planety go składają, jaką siłą utrzymują się one w przestrzeni w wiecznym a niezmąconym ruchu i porządku, jaki łączy je wzajemny stosunek, i jakie między niemi zachodzą różnice i podobieństwa.

Pośrodku więc wisi gorąca i świetnéj jasności a olbrzymia wielka kula słońca, większa od ziemi 1,407,187, razy a ciężarem massy swéj 700 razy przewyższająca ciężar wszystkich należących do jéj systemu planet, asteroid, komet i satelitów razem wziętych.

Ta sama siła *ciążenia* która zwąc się *ciężkością* kieruje ruchami wszystkiego, co od człowieka aż do najdrobniejszego pyłku i atomku, porusza się i istnieje na ziemi, przyciąga planety do ich wspólnego środka którym jest słońce, i prowadzi jé po ściśle zakreślonych im drogach okrążających to słońce w rozmaitych odległościach.

Pierwszą i najbliższą słońca oddalona odeń o 14,783,400 mil planetą jest Merkury którego rok trwa. 88 dni naszych a dzień (*) 24 godziny i około sześciu minut. Merkury mniejszy jest znacznie od ziemi, gęstość ma trzy razy prawie mniejszą, tarcza słoneczna ukazuje się na nim siedm razy większa niż na ziemi. Światło i ciepło Merkury otrzymuje od słońca siedm też razy mocniejsze niż ziemia.

O 27,618,600 mil oddalona od słońca krąży planeta Wenus, widzialna na ziemi w porach świtu i zmierzchu. Wielkością, ciężarem i gęstością składającéj ją massy, ze wszystkich planet najpodobniejszą jest do ziemi, a dwa razy więcéj niż ona przyjmuje od słońca światła i ciepła. Rok na Wenerze składa się z 224 dni a dzień z 17 około godzin.

Za Wenerą krąży planeta będąca naszem mieszkaniem Ziemia, w odległości od słońca 38,230,000 mil. Pierwsza ona z planet najbliższych słońcu Ziemia, posiada satelitę czyli księżyc okrążający ją w średniéj odległości 96,723 mil. Powierzchnia księżyca ukazuje się oczom astronomów najeżoną mnóstwem gór, skał i rozpadlin co daje do myślenia, iż została podartą i wzburzoną ogromnym jakimś kataklizmem czyli przewrotem pierwiastków składających kosmiczną masę tego satelity.

Wielce podobna do planet poprzedzających, o dwadzieścia miljonów bardziéj oddalona od słońca niż ziemia, krąży planeta Mars. Rok jéj trwa 687 a dzień 24 godziny i pół. Ta jednostajność długości dnia oraz podobieństwa atmosfer, płaszczyzn, klimatów i pór roku, czynią Marsa tak jak i Wernerę zupełnie podobnymi Ziemi, a zatem przedstawiają też same warunki egzystencji i rozwijania się istot ożywionych jakie na niéj panują.

Pomiędzy Marsem a następną planetą Jowiszem, ciągnie się pas czyli strefa szeroka na 80,000,000 mil po któréj krążą tak zwane asteroidy czyli drobne ciała będące według domniemań astronomów, odłamkami jednéj ogromnéj planety która niegdyś drogę tę obiegała, a potem rozbita straszną jakąś katastrofą rozpadła się na mnóstwo części. Inni jeszcze przypuszczają, że drobne gwiazdy te powstały z kosmicznéj materji mającéj dopiero utworzyć planetę. Asteroid tych odkryto dotąd sto przeszło. Wszystkie one niezależnie od siebie odbywają swe koliste ruchy około wspólnego środka.

Za strefą napełnioną ułamkami może olbrzymiego istniejącego tam przed wiekami świata, wisi i drogę swą o dwieście już miljonów od słońca odległą odbywa Jowisz, największa z planet systematu słonecznego, tak wielka, że ogromem swym przenosi naszą Ziemię o 1,414 razy. Pomimo, że ruch tego globu około swéj osi jest tak szybki, iż dzień jego trwa 10 godzin zaledwie, to przecież droga jaką przebiega z powodu 200 milionowéj odległości od słońca tak obszerne opisuje koło, że rok posiada tam długość 12 razy większą od ziemskiego roku to jest, że w ciągu całego wieku ziemskiego czyli naszych stu lat, na Jowiszu ośm zaledwię lat upływa. Jowisz otrzymuje od słońca 24 razy mniéj światła i ciepła jak Ziemia, ale z przyczyn właściwych téj planecie, ciepło to i światło rozkłada się na całéj jéj powierzchni w równéj mierze i sile, zkąd pochodzi, że zmienność temperatury i pór roku panująca na ziemi. jest tam nieznaną. Przytem Jowisz posiada aż cztery księżyce które nieustannie przyświecają jego nocom.

734 razy większy od ziemi, z dwoma okrążającemi go pierścieniami i siedmiu księżycami, toczy się w przestrzeni wspaniały i najpyszniéj ze wszystkich planet świetnością pierścieni swych i księżyców ustrojony Saturn, odbywając drogę o 364,351,000 mil odległą od wspólnego środka dróg planetarnych- to jest słońca. Rok na Saturnie trwa 30 lat ziemskich, każda pora roku 7 takichże lat i cztery miesiące. Ruch wirowy około swéj osi Saturn pomimo wielkości swéj, odbywa z niezmierną szybkością, bo w ciągu 10 godzin i 16 minut, to jest w tym samym prawie czasie co Jowisz. Mniéj od ziemi ogrzana i oświetlona przez słońce o 360 razy a odległa od niego o 732,752,400 mil kw. planeta Uranus, odbywa swą drogę w ciągu 84 lat ziemskich i trzech miesięcy. Satelitów czyli Księżyców posiada sześć.

Ostatnia, najpóźniéj i bardzo niedawno odkryta planeta Neptun, w olbrzymiéj odległości jednego miljarda i półtora sta miljona mil od słońca, opisuje olbrzymie koło którego długość linearna (to jest na prostą linję przemieniona) wynosi siedm miljardów mil. Rok zatem téj planety czyli pora w któréj drogę swą przebywa, trwa lat ziemskich 164, każda pora roku ma długość takichże lat 40stu a tarcza słoneczna wydaje się z jéj powierzchni 1,300 razy mniejsza niż z powierzchni ziemi. Towarzyszy Neptunowi jeden księżyc.

Tak więc oprócz Asteroid błądzących po strefie oddzielającéj Marsa od Jowisza, ośm planet odkrytych już przez astronomów krąży około słońca na przestrzeni przeszło miljarda mil. Towarzyszą im mnodzy satelici czyli księżyce, a oprócz tego mnóstwo jeszcze komet przebiega po tem wspaniałem przestworzu, kreśląc ślaki dróg tak długich, że przebieżenie ich tysięcy lat potrzebuje. Nie koniec na tem. Badacze tych niezmiernéj wielkości i wspaniałości światów niebieskich domyślają się, że nowo odkryty Neptun nie stanowi wcale ostatecznego końca tego państwa któremu słońce nasze przewodzi, że po za tą planetą, niedościgłe dotąd oczom ludzkim w najdoskonalsze nawet uzbrojonym teleskopy, są jeszcze inne planety również utrzymywane w przestrzeni siłą ciążenia wywieraną przez słońce i należące do jego systematu, że słowem państwo to i tak już olbrzymie, bardziéj jeszcze olbrzymiem być musi, tylko że dalsze jego cuda i zjawiska dotąd nieprzystępne są wzrokowi mieszkańca ziemi, a może na zawsze zakryte przed nim zostaną.

Z pobieżnego tego określenia wielkości i położeń planet składających nasz system słoneczny, wynika możebność podzielenia je na dwie gruppy rozdzielone z sobą strefą po któréj krążą Asteroidy. Pierwszą gruppę stanowią cztery najbliższe słońca planety: Merkury, Wenus, Ziemia i Mars, podobne do siebie względną swą do innych planet małością, długością lat, dni, naturą składających je pierwiastków i. t. d: Druga grupa utworzona z Jowisza, Saturna, Uranusa i Neptuna, jest nierównie od pierwszéj świetniejsza ogromem swych ciał, z których najmniejsza Uranus przewyższa wielkością całą pierwszą gruppę razem wziętą, liczbą swych satelitów, szybkim wirowaniem około swych osi, przestrzenią dróg przebieganych.

Ziemia tedy ze względu na wielkość i względne swe do słońca położenie, żadnych wyłącznych przy-

*) Pod wyrazem *dzień* rozumie się tu wszędzie dobę, to jest przestrzeń czasu w któréj planeta odbywa krąg około swéj osi.

wilejów zamieszkalności nie posiada, nie będąc ani najbliższą wspólnego środka, ani najbardziéj od niego oddaloną, ani pośrodku systematu umieszczoną ani najmniéj ani najwięcéj przez słońce ogrzaną i oświetloną.

Położenie tedy i wielkość kuli ziemskiéj nie nadają jéj wyłącznych przywilejów tworzenia, rozradzania i hodowania istot żyjących, ale należy jeszcze zbadać czy fizyczne i chemiczne pierwiastki, które ją składają i panują na niéj, nie sprzyjają bardziéj rozwojowi życia na jéj powierzchni niż na powierzchni innych planet. Głównemi temi fizycznemi i chemicznemi pierwiastkami, które mogą sprzyjać tworzeniu się i rozwojowi życia, albo je tamować są: ciepło, światło, atmosfera i stopień siły przyciągania jaką posiada planeta, a od jakiéj zależy stopień ciężkości żyjących na niéj istot. Co do ciepła ogólnem jest mniemaniem, że na planetach najbliższych słońca jak Merkury i Wenus, znajduje się ono z powodu téj blizkości w tak silnem natężeniu, iż zbytek i moc jego przeszkadza tam wszelkiemu życiu, wtedy gdy przeciwnie w drugiéj grupie planet z powodu zbytecznéj odległości od słońca, ilość ciepła jest za małą aby utworzyć i utrzymać życie. Według tego mniemania organiczne istoty gdyby i egzystowały na Merkurym i Wenusie, zostałyby spalonemi a na Saturnie i Neptunie w lody się obrócić musiały.

Sprzeciwia się temu mniemaniu, przeciwko zbytecznemu ciepłu lub zimnu, możebne oddziaływanie ognia zawartego w kosmiczéj materji składającéj ciało każdéj planety, jako też otaczającéj ją atmosfery. Wiadomo bowiem że we wnętrzu kuli ziemskiéj, pod warstwą ostygłéj już skorupy spoczywają gorące ogniowe materje, których istnienie stwierdza się tem, iż ziemia w pewnéj od swéj powierzchni głębokości, przedstawia coraz większy stopień ciepła. Wprawdzie ogień ten zawarty w kuli ziemskiéj dziś nie wywiera już żadnego wpływu na jéj stan termiczny, a całą ilość ciepła swego bierze ziemia od słońca, to przecież nie dowodzi aby z innemi planetami miało dziać się to samo.

Może być bowiem iż na planetach najbardziéj oddalonych od słońca, ogień centralny wywiera ogromne wpływy na stopień ciepła znajdujący się na powierzchni, albo że one są dopiero w epoce formacyi, to jest ostygania a zatem, że nawet zbyteczne gorąco nie dopuszcza tam jeszcze tworzenia się organicznych istot. Planety zaś do których ciepło słoneczne z największem dochodzi natężeniem, chronione być mogą od szkodliwych tego natężenia wpływów, przez większą rzadkość i przezroczystość otaczającéj je atmosfery.

Atmosfera ta którą kula ziemska osłonioną jest niby szklannym globem, zatrzymuje w sobie i skupia promieniowanie słońca, czem utrwala i miarkuje udzielane przez nie światło i ciepło. Gdyby nie atmosfera, promieniowanie to rozlewające się po tak olbrzymich i nieskończonych przestrzeniach a niczem nie powstrzymane i nie ujęte na swéj drodze, dawałoby ziemi blask rażący, oślepiający i wszędzie jednostajny, a ciepła daleko mniejszą, za małą dla utrzymania życia człowieka ilość. Dowodem tego jest oziębianie się temperatury a rażące wzmaganie się blasku, jakie stopniowo postępuje w miarę podnoszenia się od ziemi w wyższe przestrzenie, w których rozrzedza się atmosfera. Wstępujący na wysoką górę doświadcza takiego poczucia, jakiegoby doświadczył człowiek który stojąc na płaszczyźnie patrzyłby przez muślin, a potem stopniowo muślin ten z oczu swych zsuwał: albo jakiegoby doświadczyła roślina hodowana w cieplarni, gdyby nagle odjęto od niéj szklanne ściany wzmagające moc ciepła dochodzącego doń słonecznego promieniowania. Wzmożony blask słońca na szczytach gór nie pochodzi bynajmniéj, jak to powszechnie mniemają ludzie nierozumiejący zjawisk natury, od większego zbliżenia ich do słońca, bo wysokość tych szczytów niczem jest w porównaniu z odległością jako słońce od ziemi dzieli, wzmożony blask ten jest skutkiem rozrzedzenia się w górnych strefach atmosfery, tak jak i ochładzanie się temperatury sprawia iż na wielkich wysokościach leżą ciągle lody i śniegi, a życie organiczne bardzo mało nawet wcale się nie rozwija.

Widzimy więc, że nie tylko ogień centralny zawarty w planetach, ale i stosunkowa gęstość lub rzadkość osłaniających je atmosfer, może znacznie modyfikować zbyteczne natężenie promieni słonecznych spadających na ich powierzchnią,lub też względną ich słabość z niezmiernéj wynikającą odległości. Tak naprzykład, Merkury i Wenus posiadają może atmosferę, która przez małą ścisłość swych składowych części to sprawia, iż zbyt silne z powodu blizkości promieniowania słońca, mniéj przez nią ujęte i zatrzymane nad powierzchnią tych planet, zbliża się do stopnia w jakim odczuwają je mieszkańcy ziemi, gdy przeciwnie większa jéj spójność i gęstość całkiem przeciwne sprawia skutki na czterech dalszych od słońca planetach.

Zachodzi więc tylko pytanie: czy każda z planet składających nasz systemat posiada atmosferę?

A pytanie to jest jednem z najżywotniejszych, najżywotniejszem może dla kwestji zamieszkalności ciał niebieskich; gdyż świata obdarzonego istotami ożywionemi a zarazem pozbawionego atmosfery, nie możemy sobie wyobrazić. I nie tylko dla tego nie możemy sobie świata takiego wyobrazić, że bez atmosfery istoty ożywione nie miałyby środka oddychania, albowiem posiadać by mogły przyrząd płucny inaczéj uorganizowany jak jest nasz, albo wcale go nie posiadać stosownie do nieznanéj nam a właściwéj sobie organizacji, ale że światło i ciepło dochodziłoby do nich w stopniu niedopuszczającym żadnego życia. „Bez atmosfery, pisze Flammarion, nie ma chmur i obłoków, światło zatem jednostajne, nużące, wszędzie byłoby jednako rozlane przez gwiazdę blaskiem rażącą, bez najmniejszéj odmienności na niebie. Lecz nie byłoby wtenczas i nieba, bo ten czysty błękit który tak zachwyca nasze oko, zastępowałaby przestrzeń czarna i posępna, którą księżyc, słońce i gwiazdy przerzynałyby same w swym perjodycznym biegu. Bez atmosfery ciepło, równie jak światło słoneczne uchodziłoby w nieskończone przestwory niebios, a ziemia doznałaby tego losu, jaki daje się widzieć na wyniosłych górach Andów, Himalaja i na szczytach gór Alpejskich, gdzie rozrzedzone powietrze oblewa tylko pustynie zlodowaciałe wiekuistéj śmierci.“ Co więcéj na świecie pozbawionym atmosfery panowałoby głuche milczenie, bo wiadomo powszechnie, że wszelki dźwięk spowodowany jest elastycznem uginaniem się powietrza, i że w miejscu pozbawionem takowego, żadne brzmienie nie jest podobne. Oprócz tego jeszcze bez atmosfery, nie może istnieć żadna ciecz będąca tylko przemianą ciała latnego w płynne, a zatem brakłoby wody będącéj jedną z przeważnych części składowych wszelkiego organizmu.

Wszakże pytanie to, badania astronomiczne rozstrzygają całkiem na korzyść zamieszkalności ciał niebieskich dowodząc, że pod tym względem ziemia nasza nie jest lepiéj uposażoną od innych planet. Wszystkie światy do jakich zdołały dosięgnąć temu przedmiotowi zwrócone spostrzeżenia badaczy, okazały się opatrzone atmosferą, z wyjątkiem małéj asteroidy Westy i Księżyca, którego zresztą widzieć można z Ziemi jedną tylko porwaną kataklizmami półkulę wtedy, gdy druga posiadająca może ten niezbędny warunek wszelkiego życia, na zawsze jest przed okiem ludzkiem zakryta. Na Wenusie, Marsie, Jowiszu lub Saturnie bardzo wyraźnie widziane są chmury, zmierzchy, świtania i świetne pasy atmosferyczne. Nie dowodzi to bynajmniéj, aby ujrzane na innych planetach gazy i ciecze które z nich powstawać muszą, miały tę samą naturę, to jest ten sam skład chemiczny i też fizyczne własności jakie ma nasze powietrze i woda. Owszem, prawdopodobnie nawet są one całkiem od nich różne, gdyż planety ich w innych niż ziemia okolicznościach odbywały swą formację, aleź istoty pod ich wpływami żyjące mogą być uorganizowane tak, aby znajdowały wśród nich stosowny dla siebie środek życiowy.

Jeżeliby nawet na niektórych planetach atmosfera dostrzeżoną nie została, nie dowodziłoby to iż jéj tam wcale nie ma; bo albo oko ziemskiego mieszkańca jest zbyt słabem dla jéj dojrzenia, albo jak np. na księżycu znajdować się ona może na półkuli, przed okiem tem na zawsze zakrytéj.

Co do ciężkości jaką posiadają ciała zostające na powierzchni planet, ta zależy od objętości tychże, bo im większą massę posiada planeta, tem większą siłę przyciągania wywiera na poruszające się na jéj powierzchni przedmioty, a im większéj siły przyciągania ciało doświadcza, tem ciężar jego jest większym.

Powstaje tu więc ważny napozór zarzut przeciw zamieszkalności niektórych planet, iż ogrom ich czyniłby zależne od nich istoty tak ciężkiemi, że wszystkie poruszanie się byłoby im niepodobne. To mniemanie jednak znacznie modyfikuje się tem, że siła przyciągania wychodzi ze środkowego punktu kuli, że tak wyrazić się można z jéj jądra, a ponieważ siła ta w przebiegu od środka do powierzchni zmniejsza się w pewnéj stałéj matematyką wyliczonéj mierze, zatem im planeta jest większą tem więcéj środek jéj oddalony jest od powierzchni, i tem mniejszą siłą przyciągania wywiera na istniejące na niéj przedmioty.

Tak naprzykład Jowisz który jest 1,414 razy większy od ziemi, tyleż razy większą atrakcją wywieraćby powinien na istoty poruszające się na jego powierzchni, coby czyniło, że człowiek mający na ziemi 136 f. wagi, na Jowiszu ważyłby 1,520 f. Wszakże, ponieważ środek kuli Jowisza z powodu jéj ogromu, o wiele jest dalszy od swéj powierzchni niż środek Ziemi od swojéj, i jeszcze ponieważ massa składająca tę planetę mniéj ciężką jest od materji składowych Ziemi, człowiek istniejący na Jowiszu zamiast 1,520 funtów ważyłby tylko 360. Jestto wprawdzie wielki jeszcze ciężar ale przy własnościach odrębnego organizmu, nie stanowi absolutnéj do życia istot przeszkody, tembardziéj, że i na Ziemi widzimy zwierzęta nieledwie równające się temu ciężarowi a jednak żyjące i poruszające się swobodnie.

Kwestje więc ciepła, światła, atmosfer i ciężkości ciał, Flammarion w długiem i uczonem dowodzeniu rozstrzyga zwycięzko na korzyść zamieszkalności światów, wyjmując tylko z pomiędzy nich komety, które kosmicznym swym składem żadnych do téj zamieszkalności nie przedstawiają warunków, i słońce nad którem spostrzeżenia do niepewnych tylko pod tym względem doprowadziły hypotez.

(d. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 14.

N. 24. Koszula damska

z osobnemi ramiączkami. Krój Fig. 56—58.

Przednią i tylną część stanu kraje się podług Fig. 56, przedłużając u dołu stosownie do miary. Ramiączka i rękawki wszywa się podług oznaczenia liter. Garnirunek z przodu stanowią na batyście haftowane wstawki i zakładki, zaszywane sposobem na rysunku oznaczonym. Takaż wstawka szlaczkiem ząbków zakończona, otacza wykrój gorsu i rękawki. Plecy marszczą się podług miary i dopiero przyszywają do wstawki, pod którą dla mocy dodana cienka płócienna podszewka. Roztworek z przodu zapina się na guziczki, do których pod haftowaną zakładę dodana osobna listewka.

N. 25—27. Opisy i kroje w dodatku.

N. 28—29. Fartuszki

z napierśnikami. Krój Fig. 64. Połowa napierśnika.

Powyższa forma podaje napierśniki do obydwóch fartuszków białych batystowych w N. 14 Tyg. podanych, które tak są potrzebne do ochronienia sukni przy rozmaitych zatrudnieniach domowych.

Fartuszek N. 28 ma 68 cent. długości, a 64 cent. dolnéj szerokości, u dołu jest zaokrąglony, ku górze skośno ścięty do 24 cent. szerokości. Pasek muślinowy 6 cen. szeroki, przyozdobiony kratkami wyciąganemi, z jednéj strony zakończony zębami dzierganemi, przyszywa się w koło brzegu w ten sposób, azeby ząbki obrócone były na wewnątrz; przy zaokrągleniu zakłada się fałdki, aby brzeg się nie ciągnął. Pod ząbki poddana jest 1 cent. szeroka koronka, takaż koronka przystębnowana jest pliską 3/4 centym. szeroką. Przyozdobienie kieszonek, szarf i napierśnika, dokładnie wskazuje rysunek.



N. 1—2. Ubranie do konnéj jazdy i spacerowe.

N. 1. Ubranie do konnéj jazdy. N. 2. Ubranie spacerowe. Krój w dodatku do N: 18 i 19.

N. 29. Fartuszek

wycięty w zęby, ukrojony w kliny.

Zęby u dołu mają sześć cen. górnéj szerokości a 9 cent. długości, z boków zaś 4 cent. szerokości, a 2 i pół głębokości. Napierśnik oznaczony jest na Fig. 64. Wstawka koronkowa 1 cent. szeroka i tejże szerokości koronka otacza zęby; wstawkę trzeba w wycięciach i spiczastych końcach zębów zakładać, a koronkę przymarszczyć. Skośna płócienna listewka pół cent. szeroka pokrywa przyszycie wstawki.

N. 30—34. Opisy

i kroje w dodatku.

N. 35. Koszula

z okrągłym wykrojem dla niedorosłej panienki. Krój Fig. 54—55.

Ten fason koszuli zastosowany być może do każdego wieku i wzrostu, a powiększenie szerokości i długości, łatwo podług podanéj formy uskutecznić. Przód i plecy krają się razem bez przecięcia na ramieniu, z materjału podług nitki we dwoje złożonego, następnie wykrój gorsu daje się podług Fig. 54. Na naszym wzorze dolny obwód koszuli wynosi 150 cent. długość zaś od 90 do 110 centymetrów. Stębnowany obrąb przy wykroju, powinien być tak szeroki, zeby w niego można było wewlec wązką tasiemkę do ściągania. Deseń haftu atłaskowego zdobiącego górny wykrój przodu podaje fig. 54a. Koroneczkę szydełkową do oszycia gorsu i rękawków, odrobić podług jednéj z podanych w N. 14 Tygodnika wzorów. Rycina 45 w N. 13 Tygodnika wskazuje praktyczny sposób wzmocnienia rękawów, przez odzierganie z lewéj strony wszycia.

N. 36. Koszula

z szerokiem karczkiem dla niedorosłéj panienki. Krój Fig. 59 do 62.

W krajaniu trzeba stan przedłużyć podług wzrostu i dodać od dołu kliny 6 i pół cent. szerokie. Brzeg górny tak z przodu jak z tyłu, ułożony w płaskie 3 cent. szerokie kontrafałdy, wstębnowywa się pomiędzy wierzch i podszewkę karczka. Skromny garnirunek stanowi pliska stębnowana i ząbki z plecioneczki.

N. 37. Penioar.

Krój i opis Fig. 1—4 na dodatku z krojami.

N. 38. Ciepła chusteczka

flanelowa do noszenia pod stanikiem. Krój Fig. 63. Połowa chusteczki.

Chusteczka z białéj lub pąsowéj flaneli, wykrawa się cała w jednéj sztuce podług załączonéj formy i gładko wiąże na koszuli za pomocą pentelek i tasiemek, urządzonych jak wskazuje ryc. 38. Brzegi chusteczki zdobią ząbki dziergane kolorem pąsowym, białym lub czarnym. Pod ząbki te podszywa się skośna 2 cent. szeroka listewka z materji.

N. 39—40. Turniura do kostiumu.

Najmodniejsze turniury do kostiumów są z włosiennego wyrobu, prawie tak długie jak suknia i noszone pod spódnicą. Pod takie tiurniury daje się znacznie węższą podszewkę z szyrtyngu, ażeby ta nadawała im lepszą wypukłość. Dwa przecięte skośno bryty, mające 34 u dołu w górze 22 cent. szerokości, skośnemi stronami do prostego 16 cent. szerokiego bryta przyszyte, w koło listewką z perkalu, lub szeroką tasiemką objęte, fałdują się w górze do 32 cent. szerokości i stanowią podstawę tiurniury. Na nich naszywa się sześć falban, trochę jedna na drugą zachodzących, ku górze stopniowo zwężonych. Najniższa falbana 1 cent. do dołu niedochodząca, ma 154 cent. długości, 21 szerokości, a najwyższa 4 cent. od góry przyszyta, jest 115 cent. długa a 11 cent. szeroka. Wszystkie falbany zwężają się cokolwiek w końcach, fałdują w 7 kontrafałd, najgłębszych od środka, a coraz płytszych ku brzegom, obejmują z brzegów w listewkę lub tasiemkę i przyczepiają do turniury.

Podszewka z szyrtyngu, przyszyta na 3 cent. od brzegów, ma u dołu 52 cent. szerokości, ku górze zaś jest do 32 cent. z brzegów skośnie ścięta i razem z wierzchem w mocny pasek wszyta.

N. 41—46. Opisy i kroje w dodatku.

N. 47. Dwie modne śpilki

do męzkich krawatów.

N. 48. Kalesony

męzkie przyozdobione wyszyciem. Krój Fig. 69—71a.

Nogawice kalesonów niepowinny być rozcinane, tylko w całości podług Fig. 69 przykrojane. Każdą część zeszywa się od n. 1 do 2 a potem łączy ze sobą od : do + i podwrębuje albo listewką podszywa szew. Na złożeniu z boków i w miejscu na kroju oznaczonym krzyżykiem, każda nogawica ma rozporek 10 cent. długi, skośną listewką podszyty. Pas z przodu w ząb zakończony kraje się podwójnie, wyszywa podług deseniu pąsową bawełną, urządza z przodu do zapinania na guziki i podług ryc. 48 wstębnowywa w niego majtki, rozdzieliwszy część zbywającą szerokości na 5 fałdów, w równych odstępach danych z tyłu.

N. 49. Majtki męzkie

tkane sposobem pończochowym.

Ten rodzaj majtek jako miękki i dobrze do ciała przylegający, ma zwłaszcza w zimę pierwszeństwo przed płóciennemi.

Na naszem modelu, odrobione są z popielatéj włóczki. Pasek podszyty pąsową flanelą z wierzchu przeszyty jest ściegiem łańcuszkowym, włóczką pąsową, strzemiączka pąsowe. W pasie przy rozporku z tyłu poddany kawałek flaneli 13 cent. wysoki, 9 cent. szeroki, a z wierzchu tasiemki, urządzone do przyciągania.

N. 50—51. Dwa wzory kołnierzyków

do ryc. 18. Opis na arkuszu z krojami.

N. 52—59. Różne

szlaczki i wstawki do bielizny

N. 60. Czepeczek muślinowy.

Na podłużnem kółku ze sztywnego tiulu, układa się w podłużne fałdy skośne denko muślinowe, do którego z tyłu przypina się rodzaj podłużnego muślinowego woalika oszytego koronką, którą także oszyte są szarfy i riusza. Nad czołem przypięta muślinowa kokarda.

N. 61—67. Rozmaite

wstawki i szlaki do spódnic i bielizny, których przeznaczenie i rodzaj roboty opisany pod rysunkiem.

Opis do N. 15.

N. 1. Ubranie do konnéj jazdy.

Na amazonkę, do któréj stanik pod szyję z baskiną i wązkie rękawy są najstosowniejsze, wybrać można w miejsce sukna, dobry materjał wełniany w czarnym, szafirowym, ciemno brązowym lub zielonym, kolorze. Na przodzie stanika, odznacza się kieszonka do zegarka. Wązkie rękawy oprócz naszycia guzików, mają u ręki dodane mankiety w kształcie sztylp, z aksamitu albo jedwabnego repsu. Jeżeli rękawiczki mają długie mankiety w takim razie przybranie rękawów jest zbytecznem. Kołnierzyk i mankiety z cienkiego płótna, z pojedynczą stębnówką. Krawatka z kolorowéj jedwabnéj krepy. Kapelusz cylinder średniéj wysokości, przybrany woalem z czarnego jedwabnego tiulu i gazy koloru amazonki albo srebrno popielatego.



N. 5. Rzucik do przyozdobienia kaftanika N. 26.

N. 2. Ubranie spacerowe.

Spódnica podanego przez nas modelu, ozdobiona dwoma 23 cent. szerokiemi, skośnemi wolantami, jest z materjału w paski popielate i białe, tunika wycięta w zęby u dołu i stanik z karoczkiem są z materji wełnianéj, ciemno popielatéj. Zęby u tuniki, brzegi karoczka, rękawów i wykrój szyi przybrane skosem w paski; szarfy z materjału w paski i gładkiego. Tunika podpinana z tyłu, którą kraje się w formie spódnicy, jest z tyłu 93 z przodu 63 cent. długa, u dołu 280 cent. szeroka. Kapelusz popielaty rypsowy, ubrany takąż wstążką i piórami, kwiaty żywo odbijającego koloru.

N. 3—4. Wałek pod głowę

z pasami ozdobionemi haftem.

Materjał: Kolorowy aksamit, jedwab' i sznur wełniany tegoż koloru; płótno koloru écru (żółtawe) i kordonkowy jedwab takiegoż cieniu.

W dawniejszych numerach Tygodnika Mód, podawane wzory haftu dzierganego na płótnie piaskowego koloru, zastosowane być mogą do przyozdobienia pasów na wałku, pokrytym brązowym aksamitem. Rycina 3 podaje w naturalnéj wielkości deseń haftu na pasach w którym gałązki ściegiem cierniowym, wyszyte są jedwabiem koloru aksamitu; haft łańcuszkowy i łączące kratki są koloru płótna. Podstawę stanowi wałek z miękiéj podszewki wypchany włosiem i watą, 48 cent. długi a 42 cent. obwodu liczący, na niego daje się pokrycie aksamitne, złożone z bufowanych i gładkich pasów. Gładkie prosto krajane pasy, na których naszyty jest haft są po 54 cent. długie i 6 cent. szerokie, pasy zaś ułożone w bufy, krajane są skośno, po 82 cent. długie i 9 cent. szerokie. Wszystkie cztery pasy, na końcach wałka są stopniowo skrócone, równo przycięte i razem zszyte. Na rogach przymocowywa się podwójnie dany sznur brązowy, przerobiony szydełkiem w łańcuszek i z każdéj strony dwa wiszące kwasty. Kwasty naśladują dwie rozkwitłe fuksje, kielich i kwiatek odrobiony jest z aksamitu brązowego, a pręciki wiszące ze środka, są z brązowego jedwabiu z czarnemi perełkami na końcach.

N. 5—9. Desenie różne.

do wyszycia kaftanika N. 26.

N. 10. Spódnica

do kostjumu albo pod suknią.

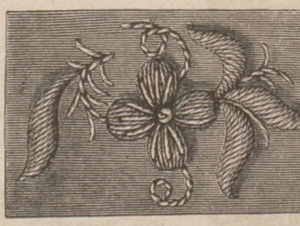
Przy panującym obecnie zbytku z jakim nawet wykończane są i spódnice pod suknie, ta tylko różnica zachodzi między zwierzchnią kostjumową, a dolną spódnicą, że ta ostatnia zwykle trzyma 258 cent. dolnego obwodu, kostium zaś powinien być 294 cent. szeroki.



N. 3. Przyozdobienie pasów do wałka pod głowę N. 4. Haft dzierġany.



N. 7. Deseń haftu przyozdabiającego paletocik N. 26.



N. 8. Kwiat do przyozdobienia paltocika N. 26.



N. 9. Kwiat do przyozdobienia kaftanika N. 26.



N. 4. Wałek pod głowę z pasami przyozdobionemi haftem Patrz N. 3.



N. 10. Spódnica do kostiumu lub też pod suknie.

Spódnica podana pod N. 10, może być oszyta tylko jednym wolantem skośnym, 14 cent. szerokim, z czarnéj wełnianéj lub jedwabnéj materji, albo też dwoma wolantami, z których jeden jest z czarnego aksamitu 8 cen. szeroki, podszyty sztywnym muślinem, drugi wolant koloru sukni. Dolny brzeg lekko marszczonych wolantów, gdzie niegdzie przymocowywa się do sukni, górny zaś garnirunek w ząbki, ułożony w równe fałdy przytwierdzony jest w całéj długości.

N. 11—15. Narożniki i hafty

służące do przyozdobienia poszewek i bielizny na łóżko. W N. 16 Tygodnika Mód podamy pojedyncze wzory bielizny i pościeli, oraz całe łóżko posłane.

N. 16—22. Rozmaite brzeżki i wstawki

do przyozdobienia bielizny. Robota szydełkowa i frywolity.

Skrócenia i objaśnienia pikotów i węzłów: o. oczko; o śc. o. ścisłe; pow. powietrzne; sł.— słupek; p.—pikot (składa się z 5 o. pow. i 1 śc: w pierwsze z pow.); węz. — węzeł składa się z 5 — 9 nawinięć na szydełko takich jak na słupek, które zbiera się przeciągając jedną pentelkę i przerabiając 1 o. powietrzne.



N. 6. Rzucik do przyozdobienia kaftanika N. 26.

N. 16. Szydełkowy

brzeżek w łuki i w węzły.

Brzeżek ten składający się z jednego tylko rzędu, robi się poprzecznie.

Zacząwszy od 18 o. pow. opuszcza się 6 a w 7 zarzuca 1 o. śc. co stanowi pentelkę, w którą przyrabiają się dolne węzły, 7 o. pow. i 1 o. śc. stanowią boczną pentelkę, potem następują 3 ocz. powietrz., 3 nawijane węzły, 3 o. pow. i 1 o. śc. zarzucone w pentelkę. Nakoniec 7 o. pow. przyrobione 1 śc. w dolne zakończenie pentelki, stanowią drugą boczną pentelkę. Poczem zaczyna się ząbek drugi i wykonywa tak samo jak poprzedni. Połączenie ząbków między sobą dokładnie wskazuje rysunek.

N. 17. Szydełkowa koronka

z pojedynczemi węzłami.

Koroneczka robi się poprzecznie. Zacząwszy 10 o. odrabia się 1 węz. z 9 nawinięć w 6 z o. pow. potem jeszcze dwa razy po 5 o. pow. i 1 węz. i 3 słu. rozdzielane 1 o. pow. Przy zaczęciu każdego następnego obrobienia, zrobić 12 o. pow. z których dwa pierwsze zastępują miejsce poprzecznego słupka. Dziesiątem o. pow. spaja się jeden ząbek z drugim, jak to wzór wskazuje. Brzeg górny obrabia się o. ścisłemi.

N. 18. Szydełkowy

brzeżek w owale.

Po skończeniu 4 p. złączonych 1 o. śc. robi się 25 o. pow. łączy w kółko, w ten sposób, żeby trzy o. ostatnie przechodziły środkiem próżnego miejsca między pikotami. Owal ten obrabia się 19 o. śc. Potem robi się 3 o. pow. łączące z sobą owale i powraca do *. Górne zakończenie brzeżka wskazuje rycina 18.

N. 19. Koroneczka

szydełkowa z tasiemeczką w ząbki.

Rząd 1 składa się * z 1 sł. zaczepionego w każde zagłębienie ząbków, 1 o. śc. w czubek ząbka 8 o. pow. w które, opuszczając tylko ostatnie o. pow., zaczepia się 2 o. śc. i 5 sł. stopniowéj wysokości, daléj znów 1 o. śc. w następny czubek ząbka i 1 o. pow: Powtórzyć od *. Każdy ząbek drugiego rzędu liczy 1 o. śc., nad każdym słupkiem poprzedniego rzędu, 8 o. pow., 1 o. śc. w czubek listka i znów 8 o. powietrznych.

Rząd 3 składają małe ząbeczki z 1 o. śc. i 5 pow., każdy 5 ząbek kończy się 1 o. ścisłem. Ząbki 5 rzędu obrobione są o. ścisłemi. Górny brzeg koronki składa rząd z o. pow. zaczepianych za ząbki 1 o. śc, i z rzędu sł. przedzielanych 3 o. powietrznemi.

N. 20. Wstawka

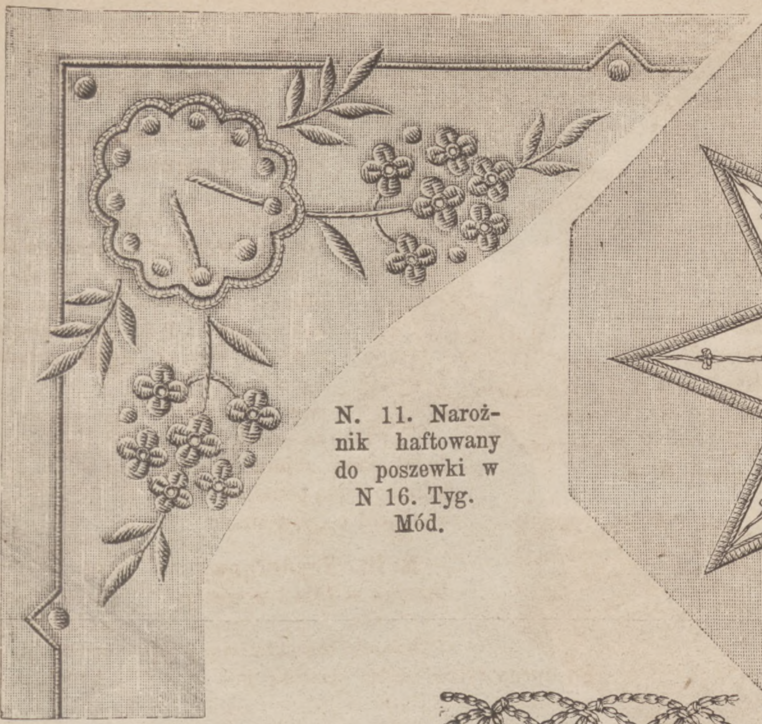
frywolitowa robiona dwoma nitkami.

Do wstawki odrobionéj z mocnéj kręconéj bawełny, każda gwiazdka złożona z 4 listków i 4 łuków wykończa się oddzielnie. Połączenie gwiazd zębami o długich pikotach i pajączki zapełniające środek, można z łatwością wykończyć podług ryciny.

N. 21. Wstawka

z roboty szydełkowéj i plecionki mignardise.

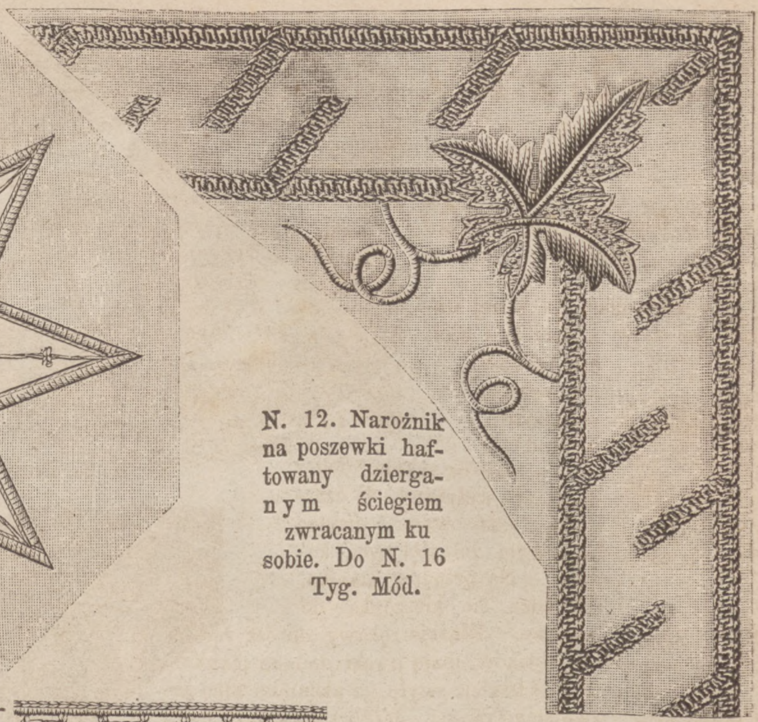
Dwa rzędy plecionki połączone 1 o. śc. i 2 pow. na-



N. 11. Narożnik haftowany do poszewki w N 16. Tyg. Mód.



N. 15. Gwiazda gipiurowa do przyozdobienia różnych części bielizny na pościel. Patrz ryc. 10 w N. 16 T. M.



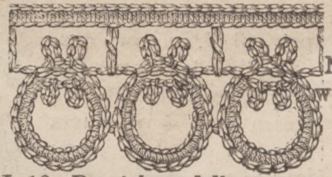
N. 12. Narożnik na poszewki haftowany dzierganym ściegiem zwracanym ku sobie. Do N. 16 Tyg. Mód.



N. 16. Szydełkowy brzeżek z nawijanemi pikotami do oszycia bielizny.



N. 17. Szydełkowy brzeżek w pojedyncze nawijane pikoty.

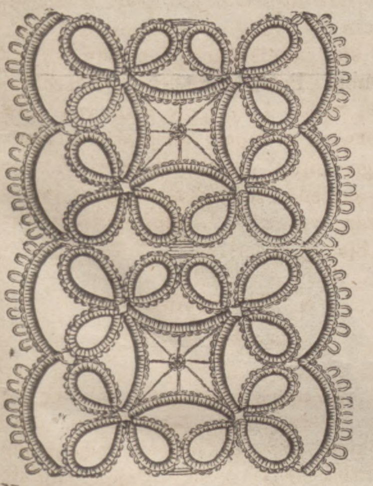


N. 18. Brzeżek szydełkowy w owale.

przemian stanowią brzegi wstawki, z pojedynczych szydełkowych gwiazdek. Na każdą gwiazdkę zaczyna się 12 o. p., te łączy w kółko i robi daléj * 3 sł. i 1 p. z trzech o. pow. Powtórzyć od *. Przy odrabianiu p. łączy się gwiazdki z plecionką. Oba rzędy gwiazdek połączone są w środku łańcuszkiem szydełkowym.

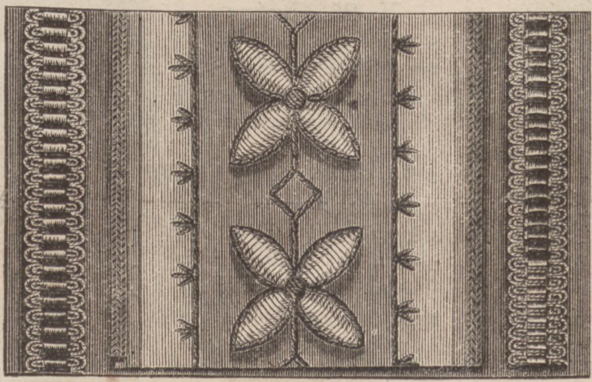
N. 22. Wstawka

z roboty szydełkowéj i ząbków z mignardise.



N. 20. Wstawka frywolitowa robiona dwoma nitkami.

Robotę zaczyna się od środka łańcuszkiem odpowiedniej długości z o. pow., do niego dodaje się na dwie strony po trzy listki składające gwiazdki. Robić jak następuje * 1 sł. pod. 6 o. pow. w które sposobem tunetańskim przerabia się 5 o. zatrzymanych na szydełku, z tych 3 środkowe robią się jako sł. a reszta przerabia ściegiem tunetańskim. Skończony listek przyrabia się 1 o. śc. w piąte o. łańcuszka, potem przerobić 5 o. łańcuszka, który powinien przechodzić od spodu wzdłuż listka, zaczepić za górny koniec listka, zrobić 8 o. pow. od których idzie listek środkowy, tak samo robiony jak poprzedni tylko o 2 sł. wyższy. Poczem przeprowadzić od spodu nitkę w górę, zrobić 5 lub 6 o pow. i odrobić trzeci listek. Jak widzimy wszystkie 3 listki u dołu zajmowane są w jedno o. łańcuszka, następnie opuszczone jest 5 o. a w 6 zaczyna się robota od * Druga połowa gwiazdek



N. 23. Szlak. Haft i wyszycie plecioneczką na drelichu do firanek ryc. 20 w N. 16. Tygodnika Mód.

środkowych wykonywa się po drugiéj stronie łańcuszka, tak samo jak pierwsza. Brzegi wstawki obrabia się z obu stron z dodaniem plecionki mignardise.

N. 23. Szlak

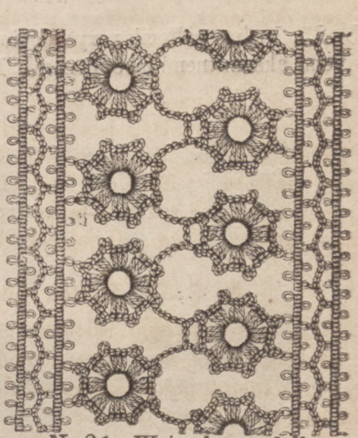
na pokrycie mebli, wałki pod głowę i t. d. Haft i naszycie plecioneczki na drelichu.

N. 24. Kwadraty

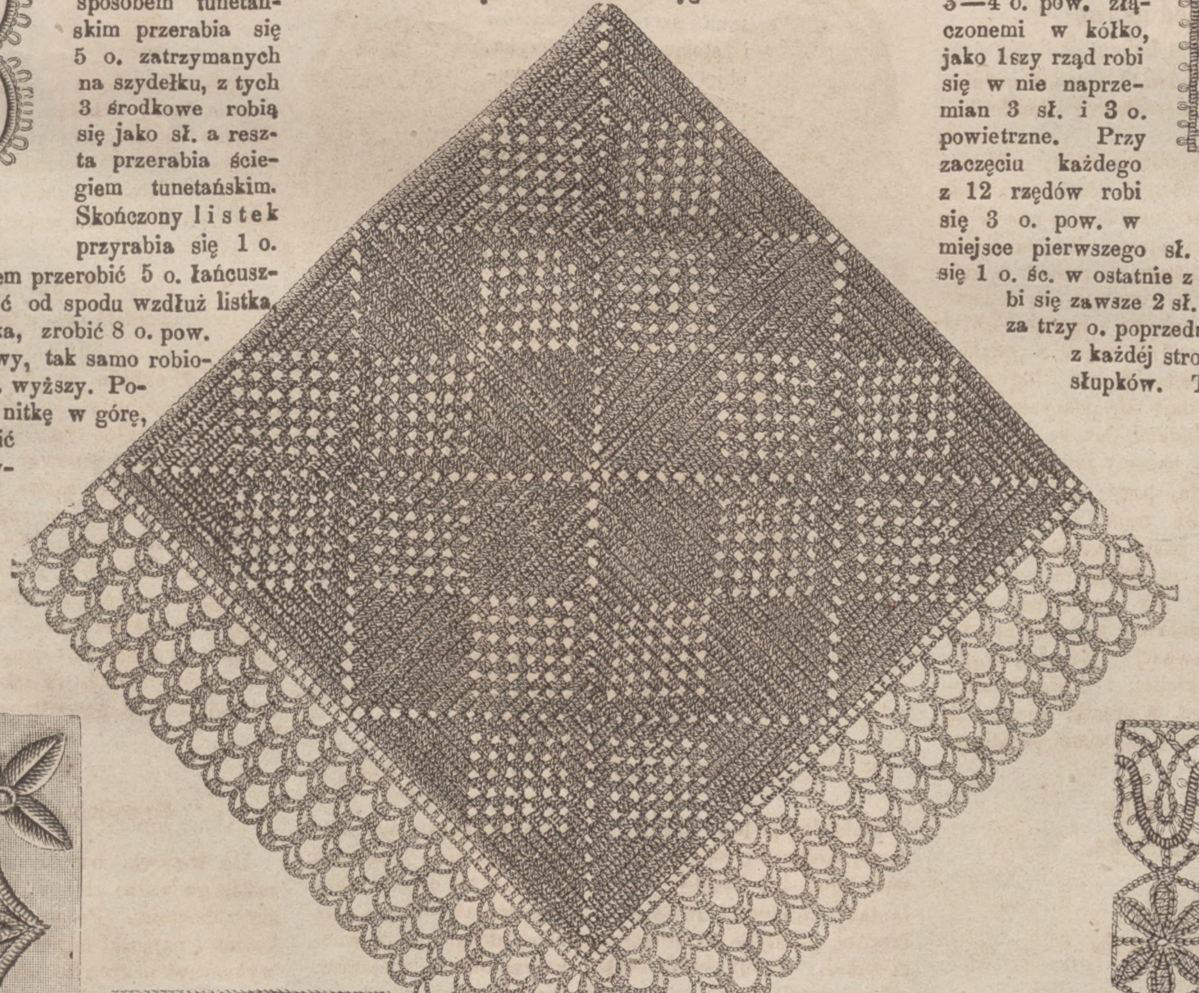
obrobione ażurowym szlakiem na kołdrę, robota zwykła szydełkowa w słupki.

Skrócenia. Patrz opis do N. 16—22.

Wzór nasz składa się z pojedynczo odrobionych kwadratów, które łączą się potem z lewéj strony rzędem śc. oczek. Kwadrat zaczyna się od środka 3—4 o. pow. złączonemi w kółko, jako 1szy rząd robi się w nie naprzemian 3 sł. i 3 o. powietrzne. Przy zaczęciu każdego z 12 rzędów robi się 3 o. pow. w miejsce pierwszego sł. na końcu zaś każdy rząd spaja się 1 o. śc. w ostatnie z 3ch o. słupka. Na rogach robi się zawsze 2 sł. rozdzielone 3 o. pow. a zajęte za trzy o. poprzedniego rzędu. Drugi rząd liczy z każdéj strony maleńkiego kwadracika po 7 słupków. Trzeci rząd składa się z 40 sł. i liczy po każdych 5 sł. 1 o. p. po nad sł. poprzedniego rzędu, jako początek deseniu ażurowego. W czwartym rzędzie po odrobieniu niezbędnych 3 o. pow. na narożnik, następują * 5 sł., 1 o. pow. 1 muszka



N. 21. Wstawka szydełkowa z plecionką mignardise.



N. 24. Kwadraty na kołdrę z ażurowym szlakiem.



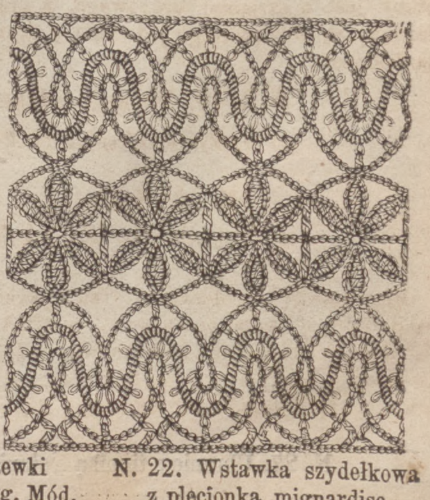
N. 13. Haft do przyozdobienia poszewki Patrz N. 19 w N. 16 Tygodnika Mód.



N. 19. Szydełkowa koronka z plecioneczką w ząbki.



N. 14. Ząbki do poszewki ryc. 18 w N. 16 Tyg. Mód.



N. 22. Wstawka szydełkowa z plecionką mignardise.



N. 25. Luźny paltocik przyozdobiony wyszyciem ze sznura i haftowanemi aksamitnemi medaljonami. Patrz ryc. 26. N. 16. Tyg: Mód.



N. 26. Paletocik z pelerynką. Patrz haft N. 5—9.

z 3 sł. w pojedyncze o. pow., znów 1 o. pow. i, opuściwszy 2 sł. poprzedniego, rzędu, 5 sł. Powrócić trzy razy od *. Wykonanie przezroczystego deseniu, na matowem tle kwadratów i ciągłe powtarzanie się 3 o. pow. na czterech rogach, podaje wyraźnie zmniejszona rycina N. 24. Ostatni rząd 13 liczy od jednego rogu do drugiego 50 sł. rozdzielonych pośrodku 1 o. powietrznym. Przezroczysty szlak dowolnéj szerokości, jakim obrabia się kołdra składa się w 1ym rzędzie naprzemian z 1 sł. i 1 o. pow. W drugim rzędzie robić 3 sł. w jedno z p. o. * 5 o. pow. i znowu 3 sł. w trzecie pow. o. zacząć od *. W trzecim rzędzie * 1 o. śc. w środkowy z trzech sł. poprzedniego rzędu, 3 o. pow., 3 sł. w pow. oczka ząbka, 3 o. pow. Powrócić od *. Podług wzoru ryc. 4 powtarza się dwa ostatnie rzędy jeszcze trzy razy.

N. 25. Luźny paletotowy kaftanik, przyozdobiony wyszyciem ze sznura i haftowanemi aksamitnemi medaljonami.

Model ten odrobiony z czarnego weluru albo sukna jest z tyłu 66 a z przodu 56 cent. długi. Bogate wyszycie z czarnego sznura z medaljonami wypukło haftowanemi, na czarnym aksamicie, strojnie i efektownie wygląda. Brzeg kaftana, szerokich rękawów i stojącego kołnierzyka, objęty jest atłasową wypustką. Frendzla z jedwabnych kwaścików z nagłówkiem z kręconéj sznelki o wiele podnosi bogactwo przybrania. Frendzle w dwóch cieniach, odpowiednich do koloru użytego na okrycie materjału, znowu są modne.

Dalszy ciąg opisu dodatku, nastąpi w N. 16 Tyg. Mód.

KORESPONDENCJA.

Pani Marji Po. w Konstantynowie. Cztery tomy powieści: Pamiętnik Wacławy przez E. Orzeszkową kosztuje rs. 2 z przesyłką rs. 2 kop. 40. Początek téj powieści od N. 1 do 26 w Tygodniku wynosi tę samą cenę.

Pani Ski. w Mironówce. Całoroczny komplet Tygodnika Mód z przeszłego roku kosztuje rs. 5.

Pani L. M. z chęcią przesłałabym żądane przepisy i deseń, tylko proszę o adres wyraźny.



N. 27. Ubranie z tuniką stanikiem z baskiną.



N. 28. Domowe ubranie z tuniką i paskiem z karoczkiem.